

Młodzi dobrze czynią odmawiając nowennę do Narodzenia Maryi (1868)

Sen księdza Bosko z 2 września 1868 r.

Ksiądz Bosko tak przemówił wieczorem po modlitwach:

„Może się to zdawać nieprawdopodobnym, a jednak, kiedy rozpoczynamy jakąś nowennę, znajdują się zawsze chłopcy, którzy chcą z zakładu wyjechać, albo zostać z niego odesłani. I teraz był jeden, który najwięcej zawinił w tych znanych wam zdarzeniach, a którego z pewnych względów nie chcieliśmy odesłać do domu i oto, jakby zmuszony siłą tajemniczą, sam wyjechał z zakładu”.

„Mówmy o czymś innym. Wyobraźcie sobie, że Ksiądz Bosko przez portiernię wchodzi do zakładu, zachodzi pod portyki i spotyka tu pewną znakomitą panią, która podaje mu jakiś zeszyt i mówi: Weź i czytaj! Ja wziąłem go i przeczytałem na okładce: Nowenna do Narodzenia Matki Boskiej. Przewracam pierwszą stronę i widzę na niej złotymi literami wypisane nazwiska kilku czy kilkunastu z was. Przewracam drugą i widzę nazwiska znacznie większej liczby, wypisane zwykłym atramentem. Przewracam dalsze kartki, ale wszystkie, aż do końca zeszytu są białe. A teraz pytam was, co to ma znaczyć”.

„Wyobraźcie sobie, że odpowiada jeden z was, a ja mu dopomagam: W zeszycie tym są spisani chłopcy, którzy odprawiają nowennę. Garstka tych, których nazwiska zapisane są złotem, odprawiają ją dobrze i z zapałem. W drugiej grupie są ci, którzy ją odprawiają, ale z mniejszym zapałem. A reszta, dlaczego nie jest zapisana? Kto wie, co to może znaczyć? Mam wrażenie, że wpłynęły na to te długie przechadzki, które tak dalece rozproszyły niektórych, że do dziś nie chce im się skupić. Gdyby tak zszedł do nas Dominik Savio, Besucco,

Magone, Saccardi, cóżby powiedzieli? Zawołaliby: O, jakże się zmieniło Oratorium!".

„A więc, by ucieszyć Matkę Najświętszą, uczynimy wszystko, co możemy, przystępując do sakramentów św. i wykonując kwiatuszki, które ja, albo ksiądz Francesia wam podamy. Na jutro niech będzie ten kwiatuszek: Dokładność i staranność we wszystkim”.

(MB IT IX, 337/ MB PL IX, 281-282)

Sen o słońiu (1863)

Ksiądz Bosko nie mogąc podać Upominku wychowankom w ostatnim dniu starego roku po powrocie z Borgo Cornalense 4 stycznia obiecał dać go na Trzech Króli. W dniu 6 stycznia na modlitwach wieczornych chłopcy oczekiwali, co powie im dobry Ojciec, który wszedł na mównicę i tak przemówił:

Otóż przyszliśmy do nowego roku. Corocznie proszę Boga, by mi natchnął pożyteczny upominek dla dusz waszych. W tym roku zdwoiłem modły ze względu na wielką liczbę chłopców. Upłynął Nowy Rok, czwartek i piątek i nic nowego. Aż w piątek wieczór poszedłem spać zmęczony całodniowymi zajęciami, lecz nie mogłem zasnąć tak, iż obudziłem się na pół żywy. Ale nie smucę się z tego powodu, lecz owszem cieszę się, gdyż Pan Bóg chcąc mi objawić, jaką rzecz, dopuszcza, że spędzam noc bezsennie. Po powrocie z Borgo Cornalense, po wysłuchaniu spowiedzi chłopców, poszedłem do łóżka i czując się wyczerpany twardo zasnąłem. Teraz opowiem wam sen, w którym będzie zawarta wiązanka noworoczna dla was.

Zdawało mi się, że w moim pokoju rozmawiam z panem Vallauri, profesorem literatury, o rzeczach dotyczących tego przedmiotu

i religii. Wtem słyszę: „puk, puk” do drzwi. Otwieram: była to moja matka, zmarła sześć lat temu, która mnie niespokojnie wołała:

– Chodź no, zobacz, zobacz... Cóż tam takiego? Pójdź... pójdź... nalegała.

Na takie naleganie, wyszedłem na balkon i oto widzę na podwórzu wśród chłopców olbrzymiego słonia.

– Cóż to ma znaczyć – zawołałem.

– Chodźmy na dół.

Spojrzałem pytająco na profesora Vallauri, on na mnie, niepewni obaj, skąd się ta bestia wzięła na podwórku. Zeszliśmy szybko na dół. Wielu z was, jak to zwykle bywa w takim wypadku, przybiegło oglądać zwierzę. Słoń zdawał się być ułaskawiony, potulny. Bawił się z chłopcami, którzy pieścili go rękoma. A że był bardzo inteligentny, stosował się do ich życzeń, jakby od dawna między nimi przebywał. Wielu miało z tego wielką uciechę. Nie wszyscy jednak. Większa część z was uciekała od niego i szukając schronienia, biegła do kościoła. Chciałem i ja tam wejść od strony podwórza, ale przechodząc obok statuy Madonny, dotknąłem rąbka jej szaty z prośbą o błogosławieństwo. Ona podniosła prawą rękę. Profesor Vallauri uczynił to samo, z drugiej strony statuy i Matka Boska podniosła lewą rękę.

Nie umiałem sobie wytłumaczyć tego niezwykłego zdarzenia. Nadeszła wreszcie godzina nabożeństwa i wszyscy poszliśmy do kościoła. I ja również poszedłem. Słoń został pod bramą kościelną. Po odśpiewaniu nieszporów i po kazaniu, w asyście księży: Allassonattiego i Savio, udzieliłem błogosławieństwa Najświętszym Sakramentem, ale w chwili najuroczystszej, kiedy byli wszyscy pochyleni, by uczcić Świętego Świętych, zobaczyłem w głębi kościoła w przejściu środkowym słonia klęczącego i pochylonego, ale odwrotną stroną, a mianowicie: pyskiem i strasznymi kłami zwróconymi ku bramie. Po skończonym nabożeństwie wybiegliście, jak zwykle, na podwórze, by się bawić. Słoń również wyszedł z kościoła i poczłapał na drugie podwórko, gdzie to budujemy nowe gmachy.

Zapamiętajcie to sobie dobrze, gdyż na tym to właśnie podwórzu rozegrała się straszliwa scena, którą chcę wam opisać. W międzyczasie pokazał się tam w głębi podwórza sztandar, na którym był napis: „*Sancta Maria succurre miseris*”, Święta Maryjo ratuj nieszczęśliwych, a za nim postępowali chłopcy procesjonalnie. W jednej chwili zupełnie niespodziewanie, owo zwierzę, przedtem tak potulne, rzuciło się na chłopców ze swymi strasznymi kłami chwytając najbliższych swą trąbą, ciskało ich z całą siłą o ziemię, tratując następnie bezlitośnie łapami. Stratowani jednak nie umierali, ale mogli wyzdrowieć, mimo ciężkich ran. Nastąpił ogólny popłoch i ucieczka. Jedni płakali, drudzy wzywali pomocy kolegów, ale najboleśniej było to, że niektórzy chłopcy, oszczędzeni przez słoń, zamiast pospieszyć z pomocą rannym, zawarli przyjaźń z tą bestią i dostarczali jej ofiar. Podczas, gdy to się działo, stałem pod drugim łukiem portyków, blisko studni. Figura, którą tam widziałem (tu wskazał ręką na statuę Matki Boskiej, a trzeba wiedzieć, że Ksiądz Bosko opowiadał sen pod portykami niedaleko statuy) ożywiła się i przybrawszy postać dorosłej Osoby, podniosła ręce i rozpostarła swój płaszcz, na którym widać było różne napisy ślicznie haftowane. Płaszcz był tak szeroki, że mógł okryć wszystkich, którzy tam chcieli się schronić. Tutaj mogli być pewni życia. Naprzód ukryli się pod nim najbliżsi i najlepsi, ale Najświętsza Maryja widząc, że wielu nie spieszyło korzystać z Jej pomocy, wołała donośnym głosem: VENITE AD ME OMNES – pójďte do mnie wszyscy. I oto tłum chłopców pod płaszczem zaczął wzrastać. Niektórzy jednak byli niezdecydowani biegając tu i tam. Z tego powodu odnosili rany, nim jeszcze zdołali schronić się do tego bezpiecznego azylu. Matka Najświętsza zaniepokojona, nie ustawała usilnie wołać, ale już rzadko, który słuchał Jej głosu. Słoń, który szerzył dalej spustoszenie, a z nim kilku złośliwców, którzy trzymając w rękach jedną lub dwie szpady, rozstawieni tu i ówdzie po podwórzu, przeszkadzali kolegom groźbami dostać się pod płaszcz Najświętszej Dziewicy. Tych chłopców słoń wcale nie chwycił. Ale byli też chłopcy pomiędzy schronionymi pod płaszczem Matki Najświętszej, którzy na Jej zachętę, czynili

od czasu do czasu wypadły i wyrwali słońowi zdobycz, przenosząc rannych pod płaszczy Matki Boskiej, gdzie ci powracali do zdrowia. Potem znowu wybiegali po nową zdobycz. Kilku uzbrojonych w kije odpędzało słońa i stawiało opór jego pomocnikom. Tak długo nie ustawiali w tej niebezpiecznej pracy, dopóki prawie wszystkich nie przeprowadzili do Matki Bożej. Podwórze opustoszało. Leżało na nim tylko kilku niedobitków. Z jednej strony stał tłum chłopców pod płaszczy Niepokalanej, a z drugiej naprzeciw, stał słoń z nieliczną grupą swych pomocników, którzy stali hardzi, prowokująco trzymając szpady w wyzywającej postawie. Było ich zaledwie dziesięciu czy dwunastu.

Wtem słoń stanąwszy na tylnych łapach, zamienił się w jakiegoś strasznego potwora z rogami, a chwyciwszy czarną płachtę czy sieć, obwinął nią nieszczęśliwców, którzy stali po jego stronie i z rykiem przeraźliwym, wśród ognia i dymu runął z nimi w straszliwą otchłań, jaka się im pod stopami otworzyła.

Po tej strasznej scenie obejrzałem się, chcąc podzielić się myślami ze swoją matką i profesorem Vallauri, ale ich już nie ujrzałem. Zwróciłem się wtedy ku Maryi Najświętszej pragnąc odczytać napisy, jakie były wyhaftowane na Jej płaszczy. Większość ich była wyjęta wprost z Pisma świętego. Niektóre tylko były trochę zmienione. Przeczytałem ich kilka: „Qui elucidant me”..., którzy tajemnice moje rozważają, będą mieli żywot wieczny. Kto mnie znajdzie, znajdzie życie. Jeśli ktoś jest małuczkim, niech przyjdzie do mnie. Ucieczka grzeszników, zbawienie wierzących. Pełna wszelkiej łaskawości i miłosierdzia. Błogosławieni, którzy strzegą dróg moich.

Ze zniknięciem słońa wszystko się uspokoiło. Matka Boska wydawała się jakby zmęczona ciągłym wołaniem. Po krótkim milczeniu, zwróciła się do chłopców z kilku łagodnymi słowami zachęty, a nawiązując do napisu w niszy: „...qui elucidant me, vitam aeternam habebunt”, wyrzekła: „Wy, którzyście usłuchali mego głosu i uniknęliście groźnego niebezpieczeństwa ze strony szatana, widzieliście niedawno zgubę swych towarzyszy. Czy

chcecie wiedzieć, co było jej powodem?, to złe rozmowy przeciwne czystości i uczynki nieskromne, które zaraz po nich nastąpiły. Widzieliście również swych kolegów uzbrojonych w szpady: to ci, którzy szukali waszego wiecznego potępienia, odciągając was ode mnie, a którzy niestety, stali się przyczyną zguby tylu waszych kolegów”.

„Quos diutius exspectat, durius damnat”. Bóg karze srożej tego, na którego dłużej czeka i duch piekielny zagarnął ich ze sobą na wieczne potępienie. Idźcie teraz spokojnie do waszych zajęć, ale pamiętajcie na moje polecenia. Unikajcie owych kolegów, co są przyjaciółmi szatana, unikajcie złych rozmów, miejcie we mnie nieograniczoną ufność, a płaszczy mój będzie dla was zawsze bezpieczną osłoną. Powiedziawszy to znikła, a na zwykłym miejscu pozostała tylko nasza ukochana statua. Wówczas zobaczyłem znowu swoją matkę, a nad głowami naszymi załopotał sztandar z napisem: „SANCTA MARIA SUCCURRE MISERIS” Wszyscy chłopcy ustawili się za nią procesjonalnie i zanucili: „Cześć Maryi”...

Wkrótce śpiew zaczął słabnąć, aż umilkł zupełnie i całe widzenie znikło... a ja się przebudziłem bardzo spocony. Oto, co mi się śniło. Drodzy synowie, niech każdy weźmie dla siebie upominek: kto znalazł się pod płaszczy Maryi – kto został wyrzucony w górę przez słońca – kto miał w ręku szpadę – spostrzeżecie się o tym przy rachunku sumienia, ja powtarzam wam tylko słowa Matki Najświętszej: „Venite ad me omnes”, biegnijcie wszyscy do Niej, w każdym niebezpieczeństwie wzywajcie Maryi, a ja was zapewniam, że będziecie ocaleni. Z drugiej strony, ci, co zostali tak pokaleczeni przez szatana, niech postarają się unikać w przyszłości złych rozmów, złych kolegów; ci zaś, co starali się oddalić chłopców od Niej, albo niech zmieniają swe życie, albo niech, czym prędzej opuszczą ten dom. A kto by chciał dowiedzieć się, jakie miejsce on zajmował, niech przyjdzie do mnie do pokoju, a dowie się o tym. Lecz powtarzam: ministrzy szatana, albo zmienić postępowanie, albo uchodzić stąd. Dobranoc!

Słowa powyższe zostały wypowiedziane z taką mocą i namaszczeniem, że chłopcy rozmyślali nad tym snem przez cały tydzień nie mogąc się uspokoić. Rano wiele spowiedzi, po śniadaniu biegli wszyscy do niego, by dowiedzieć się, jakie miejsce zajmowali we śnie tajemniczym. A że to było coś więcej niż zwykły sen, oznajmił sam Ksiądz Bosko tymi słowy: Gdy Pan Bóg zamierza objawić mi, jakąś rzecz, przechodzę etc... Zwykłem dużo się modlić o natchnienie z Nieba. Na zakończenie zabronił wszelkich żartów na temat tego snu. Lecz jest coś bardziej znamiennego. Tym razem osobiście skreślił na kartce nazwiska chłopców widzianych we śnie jako rannych, następnie tych, co mieli w ręku szpadę oraz tych, co oburącz byli uzbrojeni. Wręczył ją księdzu Celestynowi Durando polecając, by czuwał nad nimi.

Ksiądz Durando dał nam tę listę i oto mamy ją przed oczyma. Rannych było 12, to ci prawdopodobnie, którzy nie szukali ratunku pod płaszczem Madonny; tych ze szpadą było 17; ci, co mieli w obu rękach miecze – 3. Uwagi obok nazwisk oznaczały zmianę postępowania. Zasługuje na uwagę, iż ten sen, jak zobaczymy, miał oznaczać nie tylko czas obecny, lecz odnosił się i do przyszłości. Sami chłopcy spostrzegli się o tym, że sen był dla nich pewną wskazówką. Jeden z nich pisał: Nie przypuszczałem, żeby Ksiądz Bosko tak doskonale mnie rozszyfrował; okazał mi stan mej duszy, pokusy, jakim podlegam i to, z jaką precyzją, że nic ponadto nie mógłbym dodać. Dwóch zaś innych widzianych we śnie ze szpadami w ręku: Tak, to prawda. Spostrzegano się o tym od dłuższego czasu; sam o tym wiedziałem. I zmienili postępowanie. Pewnego razu po obiedzie przeszła rozmowa na ów sen.

Ksiądz Bosko wspomniał, że niektórzy opuścili zakład, inni mieli wyjechać, by uwolnić dom od ich mieczy; napomknął o swej, jak wyrażał się chytrości, na dowód, czego przytoczył fakt następujący. Pewien chłopiec niedawno temu pisał list do domu, w którym „osmarował” niektóre osoby w Oratorium, jak przełożonych i księży. Obawiając się, by Ksiądz Bosko nie

dowiedział się o tym, wysłał ten list potajemnie. List poszedł. Po obiedzie wołał go do pokoju i przedstawiam mu jego niegodny postępek. Pytam, co go skłoniło do napisania tych kłamstw. On wyparł się. Pozwoliłem mu się wygadać. Potem od pierwszego słowa wyrecytowałem mu cały list dosłownie. Zbladł, zawstydzony upadł mi do nóg mówiąc z płaczem:

– To ten list nie doszedł?

– Tak, w tej chwili już będzie w domu, lecz postaraj się go naprawić.

Wychowankowie pytali, w jaki sposób o nim się dowiedział.

– Och, hokus, pokus, odpowiedział z uśmiechem.

Ten „spryt” odnieść można i do snu, w którym widział nie tylko obecny stan lecz i przyszłe życie każdego chłopca. Jeden z nich pozostający w zażyłym kontakcie z księdzem Rua, opisał nam to wiele lat później. Kartka zawiera nazwisko i imię piszącego, nazwę ulicy i numer mieszkania w Turynie. Oto ona:

Carrismo D. Rua!

Między innymi rzeczami pamiętam pewne widzenie, które miał Ksiądz Bosko w roku 1863, podczas gdy byłem w domu. Ujrzał w nim przyszłość swych chłopców i opowiedział na słówku wieczornym. Był to sen o słońiu. (Tu opisawszy, o czym była mowa wyżej tak kontynuował): Ksiądz Bosko skończywszy opowiadanie zakończył: Jeśli kto chce wiedzieć, gdzie się znajdował, może przyjść do mnie prywatnie... Poszedłem, więc i ja.

Ty, rzeczce, byłeś w liczbie tych, którzy biegli za słońiem przed i po nabożeństwie; skutkiem, czego naturalnie byłeś jego łupem; wyrzucony zostałeś w górę trąbą słońia, spadłeś na ziemię, oczywiście nie mogąc uciekać, mimo, że czyniłeś wysiłki. W pewnej chwili jeden z księży nieznany ci chwycił cię za rękę i przeniósł, w bezpieczne miejsce, pod płaszczy Madonny. Zostałeś ocalony. To nie sen, lecz prawdziwe widzenie przyszłości, które Bóg odsłonił swemu Słudze, zdarzyło się w drugim roku mego pobytu w Oratorium, gdzie byłem przykładem dla kolegów w nauce i pobożności; a jednak w takim stanie

widział mnie Ksiądz Bosko. Nadeszły wakacje po roku 1863. Wyjechałem z powodu zdrowia i już nie wróciłem do Oratorium. Miałem wówczas lat 13 skończonych.

W roku następnym ojciec mój chciał, bym nauczył się rzemiosła szewskiego. Dwa lata później pojechałem do Francji, dla udoskonalenia się w tym zawodzie. Zetknąłem się tam ze sekciarzami, stopniowo opuszczałem praktyki religijne i znienawidziłem Kościół katolicki, apostołski, rzymski jako najgorsze z wyznań religijnych. Po dwóch latach wróciłem do kraju, nadal czytałem złe książki i coraz bardziej zrywałem z Kościołem. Równocześnie jednak nie przestawałem modlić się do Ojca Niebieskiego w imię Jezusa Chrystusa, by mnie oświecił i dał poznać prawdziwą religię.

Tak trwało przez lat 13, wśród ciągłych wysiłków, by powstać, lecz zostałem zraniony, stałem się łupem słońca i nie mogłem się ruszyć o własnych siłach. Z końcem roku 1878 odbywały się misje w parafii.

Ludzie tłumnie szli na kazania misjonarzy i ja również zacząłem uczęszczać na ich nauki. Uderzyły mnie prawdy wiary piękne i niezaprzeczone, zwłaszcza ostatnia na temat Najświętszego Sakramentu, co było głównym punktem mych wątpliwości (nie wierzyłem, bowiem w realną obecność Pana Jezusa w Eucharystii), tak przekonywująco została wyłożona przez kaznodzieję, że tknięty łaską Bożą postanowiłem pójść do spowiedzi i schronić się pod płaszczyk Madonny. Od owej chwili nieustannie dziękuję Bogu i Najświętszej Pannie za łaskę nawrócenia. Nadmieniam, że owym kaznodzieją misyjnym był nie, kto inny, a mój kolega z Oratorium Ksiądz Bosko.

Turyń, 25-02-1891 r.

Dominik N...

PS. Jeśli Przewielebny Ksiądz zechce opublikować ten list, daję na to upoważnienie, byle nie został zmieniony sens jego będący rzetelną prawdą. Całując rękę chcę uczcić tym samym

naszego drogiego Księdza Bosko. Pewne jest, że Ksiądz Bosko otrzymał w tym śnie od Boga światło dla rozeznania powołania chłopców, bądź do stanu świeckiego jak duchownego, tak by jedni i drudzy mogli czynić wiele dobrego w przyszłości. Widział, bowiem kilku odważniejszych, co walczyli ze słońcem i jego poplecznikami celem zbawienia swych kolegów i wyniesienia zranionych pod płaszczy Madonny. Dlatego nie przestawał przyjmować wielu zgłaszających się, którzy pragnęli wstąpić do Zgromadzenia, względnie dopuszczać aspirantów do złożenia profesji trzyletniej. Będzie dla nich na wieki tytułem chwały ten wybór Księdza Bosko.

Część z nich nie złożyła ślubów, względnie po skończeniu trzyletnich wycofała się z szeregów salezjańskich.

(MB IT VII, 356-363 / MB PL, 247-254)

Aleja róż (1847)

Sny księdza Bosko to dary z Wysoka, aby prowadzić, ostrzec, poprawić, zachęcić. Niektóre z nich zostały spisane i zachowały się. Jednym z nich – powstałym na początku misji Świętego młodych – jest sen o różanej alei, z 1847 roku. Przedstawiamy go w całości.

W roku 1864 po modlitwach wieczornych według zwyczaju zebrał w pokoju członków Zgromadzenia między innymi Ks. Wiktora Alasonattiego, ks. Michał Rua, Ks. Jana Cagliero, ks. Celestyna Durando, ks. Józefa Lazero i Ks. Juliusza Barberisa zachęcał by oderwać się od świata i własnych rodzin, po to by lepiej naśladować Jezusa Chrystusa i tak mówił dalej:

„Opowiadałem wam wiele rzeczy w formie snu, z których możemy wnioskować jak Madonna nas kocha i pomaga. Uświadomimy sobie, że Najświętsza Panna doprawdy chce mieć nasze Zgromadzenie.

Ażebyśmy nabrali ducha do dalszej pracy na chwałę Bożą opowiem wam już nie sen a to, co Ona sama raczyła mi wskazać. Jej pragnieniem jest byśmy w Niej złożyli całą swą ufność. Mówię do was z całym zaufaniem, lecz chciałbym by to, co słyszycie nie rozgłaszać innym w domu, lub poza Oratorium, nie dać okazji do złośliwych krytyk.

W roku 1847 gdy długo zastanawiał się nad tym jak zabrać się do pracy z młodzieżą, objawiła mi się Królowa Nieba i zaprowadziła mnie do czarującego ogrodu. Zaraz u wejścia był zbudowany piękny krużganek. Zdobily go piękne pnącza, które pnąc się po filarach swymi liśćmi i kwiatami wypełniały przestrzeń tworząc jakby wspaniały baldachim. Z tego krużganka wychodziło się na piękną aleję, wzdłuż której jak okiem sięgnąć po obu strona biegły szpalery precudnych róż w pełni rozkwitniętych. Wszystko, nawet chodnik był pokryty różami. Najświętsza Dziewica powiedziała do mnie:

„Zdejm teraz obuwie”, a kiedy to uczyniłem powiedziała: „Idź tą aleją naprzód. To jest droga, jaką masz odbyć”.

Byłem bardzo szczęśliwy, ale kiedy ruszyłem naprzód poczułem, że róże mają kolce; im dalej się posuwałem kolce stawały się nie do zniesienia. Nogi bardzo krwawiły. Musiałem zawrócić.

„Tu potrzebne są buty”, rzekłem do mojej Przewodniczki, „Naturalnie, że potrzebne” – odpowiedziała.

Założyłem buty i dalej przemierzałem tę drogę z gromadą towarzyszy, którzy w tej chwili zjawili się przy mnie i wyrazili gotowość pójścia ze mną. Szliśmy wśród szpalerów tych cudownych róż, tylko, że w miarę jak postępowaliśmy naprzód, aleja zwężała się i obniżał się różany pułap. Pędy latorośli zwisających z góry splecione między sobą, tworzyły wdzięczne festony, pojedyncze pędy chwiały się leciutko nad chodnikiem. Z krużganków wyrastające gałązki na obie strony, układały się poziomo i tak już gęsto się zrosły, że wystając na chodnik utrudniały przejście. Najwięcej kłopotu sprawiały te przyziemne. Wszystkie pędy pokryte były kwieciami tak gęstym, że nic nie widziałem tylko róże; róże z boku, róże z góry, róże na ziemi pod nogami. Niestety, nogi odczuwały coraz większy ból tak, że się krzywiłem a usuwając ręką gałązki,

przekonałem się, że i na nich i pod kwiatami kryją się ostre kolce. Mimo wszystko szedłem naprzód, choć nogi pokrwawione plątały się w rozrosłych gałęziach, krwawiło coraz bardziej. Gdy chciałem zagradzające mi drogę pędy odgarnąć kaleczyłem się cały. Najbardziej przykre były pędy zwieszające z góry, bo raniły głowę ostrymi cierniami. Tylko podtrzymywany zachętami Najświętszej Dziewicy, nie ustałem w dalszym pochodzie, choć ból od wbijających się kolców był tak przenikliwy, że musiałem krzyczeć.

Tymczasem wszyscy widząc minie idącego tą aleją, a było ich bardzo dużo, mówili między sobą:

„O, jak ten Ksiądz Bosko chodzi sobie po różach spokojny, zadowolony... wszystko do niego się uśmiecha...”

Nie widzieli kolców. Wielu też księży, kleryków i laików wybrało się ochoczo w pochód za mną, pociągnięci pięknnością kwiatów. Lecz gdy spostrzegli, że tu trzeba iść po kolcach, czyhających na każdym kwiatku zaczęli protestować i wołać: Oszukano nas....

A ja im na to: „Kto chce chodzić rozkosznie po różach, niech wraca, czym prędzej, inni naprzód za mną”.

I szedłem dalej, a kiedy po chwili odwróciłem się by zobaczyć, kto mi wiernie towarzyszy, jakiż bolesny spotkał mnie zawód, większa część znikła mi z oczu, a inni odwrócili się do mnie plecami i zawrócili z alei. Pobiegiłem za nimi, aby ich powstrzymać, zachęcić do wytrwania, ale wszystko na próżno. Nie chcieli nawet mnie usłuchać.

Wobec takiej sytuacji wybuchnąłem gorzkim płaczem i użalałem się sam nad sobą: Czyż doprawdy tylko ja sam zdołam przebyć tę drogę uciążliwą? Wnet jednak przyszło pocieszenie, bo oto widzę grupę księży, kleryków i koadiutorów, którzy mi oświadczyli: „Oto jesteśmy. Stajemy na księdza rozkazy, gotowi na wszystko!”.

Ruszyłem wtedy naprzód, a oni za mną. Wprawdzie kilku jeszcze upadło na duchu i zatrzymali się, ale bezwzględna większość wytrwała ze mną do końca.

Dotarłszy do końca alei, znalazłem się na drugim, jakże miłym ogrodzie, w otoczeniu gromadki wiernych moich naśladowców.

Bardzo byli wychudli, pokrwawienie w podartych ubraniach..., ale zaraz powitał ich rozkoszny wietrzyk i wszystko uleczył. Za drugim jego powiewem, jakby na znak różdżki czarodziejskiej, zostałem otoczony wieka gromada chłopców, kleryków, koadiutorów, którzy właśnie zajęli się młodzieżą. Wielu z nich znałem, ale większość była mi obca. Posuwając się z nimi w głąb ogrodu stanąłem jakby na wyższym jego tarasie, gdzie wznosi się monumentalny, piękny pałac.

Weszliśmy do środka, do bardzo obszernej sali, a której przepychem nie może się równać żaden pałac królewski. Pachniało świeżymi różami, którymi cała sala była ozdobiona.

Tu Najświętsza Dziewica zapytała: „czy wiesz, co to wszystko znaczy?, Co teraz widzisz i coś przed chwilą przeżył?”

Nie rozumiem – odpowiedziałem – i proszę o wytłumaczenie mi tego wszystkiego.

Ona na to: „Wiedz, że droga przebyta przez ciebie pośród róż i kolców oznacza pracę, jakiej masz się poświęcić dla dobra młodzieży: przy tej pracy trzeba będzie chodzić w butach umartwienia. Kolce oznaczają zmysłowe przywiązanie, sympatie, czy antypatie ludzkie, które odwracają wychowawcę od właściwego celu, ranią go, utrudniają jego misję, przeszkadzają w postępie duchowym i w zbieraniu sobie zasług na wieniec chwały w życiu przyszłym. Róże to symbol miłości żarliwej, jaką powinien odznaczać się każdy wychowawca. Kolce ze wszystkich stron przypominają trudności, przeszkody, nieprzyjemności, jakich w waszej pracy nie zabraknie. Ale nie traćcie ducha. Miłością i umartwieniem wszystko przezwyciężycie i zdobędziecie róże bez kolców”.

Zaledwie Matka Boża skończyła mówić, ocknąłem się i znalazłem się w swym pokoju. Ksiądz Bosko zrozumiałszy znaczenie snu, odtąd doskonale widział swą drogę, jaką miał przebyć, że przeciwności, jakimi go chciano powstrzymać, był mu z góry wiadome, a choć wiele czekało go kolców był pewny, że to wola Boża i był pewny powodzenia swojej misji.

Dzięki temu snowi otrzymał wskazówkę, by się nie zniechęcał wystąpieniami niektórych członków, którzy wydawali się być przeznaczeni do pomocy w jego misji. Pierwsi, którzy wycofali

się z owej alei różanej to niektórzy księża diecezjalni, laicy, którzy początkowo oddawali się pracy w Oratorium świątecznym. Inni, którzy odeszli przedstawiali Salezjanów, którym obiecana została pomoc boże w formie owego dobroczynnego wietrzyka. Później Ksiądz Bosko oświadczył, że sen powyższy powtórzył się jeszcze kilkakrotnie w latach 1848-1856 zawsze w odmiennych okolicznościach. Myśmy je zebrali razem by się nie powtarzać. Chociaż Ksiądz Bosko od 1847 chował ten sekret dla siebie jak zauważył Józef Buezzetti, już od tego czasu okazywała się coraz żywsza jego pobożność względem Matki Najświętszej, starał się też by chłopcy obchodzili Jej święta i miesiąc maj z korzyścią dla duszy. Było widoczne, że rzucił się on całkowicie w ręce Opatrzności Bożej, jak dziecko w objęcia swej matki. Odwaga i stałość, z jakimi podejmował i rozwiązywał trudne sprawy dawały jasno poznać, jak kierował się wytyczonym z góry programem życia i że jemu jak Mojżeszowi powiedziano: „Patrz i czyn według wzoru, jaki tu oglądasz. W końcu dodać należy, iż wychodziły mu niekiedy z ust uwagi, w których obecni dopatrywali się jakiegoś tajemnicy. Zdawało się jakby kontemplował jaśniejącą postać Najświętszej Dziewicy unoszącą się w górze ponad całym światem w akcie zachęty, by wszyscy uciekali się pod Jej opiekę.

(MB IT III, 32-36/ MB PL III, 18-20)

Powódź i tratwa ratunkowa (1886)

Nikt nie może uratować się przed potęgą wód podczas wielkiej powodzi. Każdy potrzebuje ratownika, który zabierze go do swojej łodzi. Ci, którzy nie wsiądą do łodzi, ryzykują, że

zostaną zmiecenі przez szalejące wody. Ksiądz Bosko zrozumiał głębsze znaczenie swojego snu o ratującej tratwie i opowiedział do swoim młodym.

Ksiądz Bosko, przed tłumem swoich młodych, przemówił w ten sposób w poniedziałek wieczorem, pierwszego dnia 1866 roku:

Zdawało mi się, że jestem między rozbawionymi chłopcami z Oratorium, gdzieś w pobliżu Castelnovo d'Asti na obszernych błoniach. W tem na widnokregu ukazuje się woda, która gwałtownie wzbierając przewalała się ku nam swymi spienionymi falami.

Przerażeni zaczęliśmy uciekać w stronę pobliskiego młyna, stojącego z dala od innych zabudowań, a otoczonego grubym jakby fortecznym murem. Zatrzymaliśmy się przed nim na podwórzu, ale woda i tu zaczęła się wciskać; więc weszliśmy do środka, a potem do izb na górnym piętrze, skąd dopiero mogliśmy dokładniej zobaczyć rozmiary klęski i grozę naszego położenia. Od wzgórz Supergi aż po Alpy, zamiast pól uprawnych, łąk, ogrodów czy wiosek i miast, widać było jedno olbrzymie jezioro. A woda podnosiła się stale wyżej, tak, że straciliśmy wszelką ludzką nadzieję ratunku. Poleciałem więc chłopcom, żeby oddali się z całą ufnością, w ręce Boskiej Opatrzności i opiece naszej ukochanej Madonny.

Kiedy wody sięgały już górnego piętra, przerażenie było ogólne. Jedynym ratunkiem dla nas mogła być wtedy olbrzymia tratwa, którą w tej chwili ujrzeliśmy, że płynie ku nam powoli, ale do samego młyna nie mogła dopłynąć, bo przeszkadzał ów gruby mur, który sterczał jeszcze nad wodą. Nie było innej rady, jak przejść przez cienki stosunkowo, a długi pień drzewa, który będąc wsparty jednym końcem o tratwę rozhuśtaną falami balansował razem z nią.

Wreszcie sam zdobyłem się na odwagę i pierwszy przeszedłem szczęśliwie. Teraz i chłopcy nabrali animuszu. Aby im ułatwić

przejście, wyznaczyłem księży i kleryków, by od strony młyna podtrzymywali jakoś wspinających się, a inni, którzy już byli na tratwie, aby podawali ręce wskazującym do niej. Rzecz dziwna, że ci pomagający, mimo że się zmieniali, bardzo szybko się męczyli i ja również nie mogłem ustać na nogach.

Tymczasem wielu chłopców, zdenerwowanych obawą śmierci, czy chcąc okazać się śmielszymi, znalazło jakąś długą deskę, nieco szerszą od naszego pnia i z niej zrobili sobie drugą kładkę. Nie czekali, więc na pomoc księży, ale hurmem rzucili się ku niej.

Krzyknąłem przestrzegając ich: Zaczekać, nie pchać się, bo powpadacie do wody, nic nie pomogło. Rzeczywiście jedni popchnięci, drudzy straciwszy równowagę wpadli do wody, w końcu załamała się i deska razem z tymi, co na niej byli, tak, że prawie czwarta część chłopców padła ofiarą swego kaprysu.

Ja trzymając mocno koniec pnia, po którym chłopcy przechodzili, spostrzegłem, że wody już wezbrały ponad ów mur oddzielający tratwę od młyna. Wobec czego zrobiłem wszystko, co możliwe, aby ją bliżej młyna przycumować i to mi się na szczęście udało. Wtedy, ks. Cagliero stojąc jedną nogą, na okiennicy, drugą na tratwie, przerzucał po prostu jednego chłopaka za drugim z młyna na łódź.

Zostali jeszcze ci, co schronili się na dachu, ale woda i tam sięgała, podnosząc na szczęście ze sobą i tratwę. Zawołałem, więc na nich, aby pomodlili się gorąco i spokojnie, trzymając się za ręce, schodzili na dół. To udało im się szczęśliwie przy pomocy kolegów. Oglądając się po tratwie, przekonaliśmy się, że na niej jest dużo chlebów ładnie przechowanych w koszykach.

Teraz obejmując komendę nad wszystkim niepewny, co nas może jeszcze czekać, rzekłem: Maryja Najświętsza jest Gwiazdą Morza. Nikogo nie opuści, kto się do Niej ucieka. Oddajmy się, więc pod Jej opiekę, a Ona wyratuje nas i szczęśliwie

doprowadzi do portu.

Tak pokrzepieni na duchu popłynęliśmy naprzód, oddalając się szybko od zalanego już młyna. Tratwa pędzona silnym wiatrem mknęła tak gwałtownie, że musieliśmy się czasem trzymać gromadnie pod ręce, by nie upaść. Po dłuższej takiej szalonej jeździe, nagle tratwa porwana wirem zaczyna się kręcić w kółko i to tak gwałtownie, że zdawało się, iż zatonie. Na szczęście, potężniejszy podmuch wichru wyrwał ją z tego odmetu. Powtórzyło się to jeszcze kilka razy, aż wreszcie po dłuższym czasie zatrzymaliśmy się u brzegu jakiejś pięknej i dość obszernej wyspy jeszcze przez powódź niezalanej.

Wielu chłopców uradowanych tym widokiem, dowcipkując, że Pan Bóg stworzył człowieka na ziemi a nie na wodzie, bez pozwolenia powyskakiwało z tratwy, zachęcając do tego innych. Ale krótka była ich radość. Nowa fala zalała i ten skrawek lądu, a nieszczęśliwi zbiegowie znaleźli się po pas w wodzie, a po chwili porwani falami, zniknęli w głębinach.

Ze smutkiem powiedziałem sobie i innym: Sprawdza się przysłowie, że kto robi według własnej głowy dopłaca z kieszeni.

Tymczasem tratwa oderwana od brzegu, zdana na łaskę wzburzonych fal, pędziła w dal. Widząc wszystkich przybladłych ze strachu, pokrzepiłem ich myślą o Matce Najświętszej: Odwagi. Matka Najświętsza nas nie opuści. Po tych słowach wiedzeni jedną myślą, odmówiliśmy serdecznie akty wiary, nadziei i miłości, a po akcie żalu, jeszcze kilka pacierzy. Następnie każdy ze złożonymi rękoma modlił się osobno. I tu nie brakło złośliwych, czy obojętnych, którzy kręcąc się po tratwie tu i tam podśmiewali się z klęczących.

W tem nagle tratwa wpadła znowu w gwałtowny wir co tak nią wstrząsnęło, że ci co stali mędrkując zatoczyli się, a gwałtowne uderzenie wichru strąciło ich do wody. Było ich około, trzydziestu; ponieważ woda była brudna i głęboka,

ratunek był niemożliwy i więcej ich nie zobaczyliśmy. My zaś zaintonowaliśmy: „Salve Regina” błagając o pomoc i dalszą opiekę Gwiazdę Morza.

Choć burza trochę zelżała, tratwa jak ryba sunęła naprzód, nie wiedząc, dokąd nas ona zawiezie. Tymczasem trzeba było chłopców chronić od wypadków i ratować tych, co wychyliwszy się zanadto wypadali za burzę, karcić tych, co odważyli się spychać kolegów z pokładu. Dla ułatwienia sobie pomocy w ratowaniu, kilku księży postarało się o drągi czy pasy lub inne odpowiednie narzędzia, które by można było podać tonącym i ocalić ich, choć i temu pewni zuchwalcy przeszkadzali. Klerycy zaś mieli dozorować, aby nieporządki nie powtarzały się.

Ja stałem pod wysokim masztem otoczony księżmi, klerykami i chłopcami, którzy wykonywali moje rozkazy. Dopóki wszyscy słuchali, wszystko szło dobrze. Czuliśmy się spokojni i bezpieczni. Kiedy jednak niektórzy zaczęli narzekać na niewygodną tratwę, wyrażać obawy co do dalszej niepewnej podróży, narzekać na niebezpieczeństwa tej przeprawy, dyskutować na temat miejsca wylądowania, obmyśliwać sposoby dostania się na inny okręt, marzyć o bliskim wylądowaniu, powątpiewać, czy wystarczy żywności, kłócić się między sobą i odmawiać posłuszeństwa, natenczas sytuacja pogorszyła się znacznie. Nadaremno starałem się uspokoić malkontentów. Gdy wtedy spotkaliśmy łodzie płynące w odwrotnym kierunku niż nasza tratwa, ci lekkomyślni postanowili działać na własną rękę. Zobaczywszy, więc kilka desek pływających po wodzie, dorzucili do nich jeszcze parę znalezionych na tratwie i na nich zaryzykowali przepłynięcie do mijających nas barek. Była to chwila dla mnie bardzo bolesna. Czułem, że idą ku własnej zgubie. I rzeczywiście, jednych zalały fale, drugich pochłoneły wiry, inni rozbili się o podwodne skały, a reszta, choć dotarła do upragnionych łodzi, razem z nimi potoneła. Nastąpiła ciemna, straszna noc. Tym była groźniejsza, że z dala dochodziły rozpaczliwe wołania tonących, zmieszane z wyciem

wichru i rykiem bałwanów. Wszyscy, którzy znaleźli się poza naszą tratwą, zginęli. *In mare mundi submerguntur omnes illi, quos non suscipit navis ista* – wszyscy się potopiają w morzu świata, którzy nie dostaną się na okręt Najświętszej Maryi Panny.

Liczba moich chłopców znacznie się zmniejszyła, ale mimo to było ich jeszcze wielu. Z pomocą Matki Najświętszej przetrwaliśmy szczęśliwie tę straszną noc i nad ranem tratwa nasza wjechała do cieśniny między dwoma śliskimi brzegami, na których rosły dzikie krzaki, gdzie pełno było szczątków rozbitych okrętów, a więc desek, wioseł, połamanych masztów itp. Tu roiło się od mnóstwa skorpionów, ropuch, węzów, jaszczurek, krokodyli i innych ohydnych bestii. Na przybrzeżnych karłowatych wierzbach, chylących się nad naszą tratwą siedziały koty o szczególnym wyglądzie, pożerające części ciał ludzkich i wstrętne małpy usiłujące porwać chłopców, ale ci bardzo zręcznie schylając się udaremniaли ich zakusy. Zobaczyliśmy też trupy dawnych naszych współtowarzyszy z tratwy, których fale wyrzuciły na brzeg. Ciała jednych rozbite były o skały, innych zamulone w błocie, inne trupy pływały opodal w bagnie. Wtem daje się słyszeć na tratwie głos jednego z naszych: Cóż to za potwór? Pożera ciało tego i tego? i pokazując palcem kolegom powtarzał nazwisko po kilka razy. Za chwilę nowy straszny widok przedstawił się naszym oczom. W niewielkiej odległości zobaczyliśmy ogromny piec pełen żaru i płomieni. W tym piecu, w jego płomieniach przewalały się ciała o postaciach ludzkich, tak, że raz widziało się jakąś głowę, to rękę czy nogę, to znowu barki, a to w ciągłym ruchu i drganiach konwulsyjnych, tak jakby się to wszystko gotowało we wrzątku.

Niestety, ku naszemu wielkiemu przerażeniu, widzieliśmy tam wielu z naszych wychowanków. Nad tym piecem była położona wielka pokrywa z napisem: „Tu prowadzą zlekceważone Przykazania VI i VII”.

W pobliżu pieca ciągnął się ugór zarośnięty z rzadka

rachitycznymi drzewami, bez żadnego porządku. Między nimi wałęsało się wielu chłopców tych, co niedawno wpadli do wody, czy w ogóle wykręcili się z tratwy. Nie zważając na niebezpieczeństwo wysiadłem na brzeg, by się nimi zająć. Ale zauważyłem, że mieli oczy, uszy i serce pełne owadów i obrzydliwych robaków, które ich kęsały, sprawiając wielką boleść. Chciałem się zbliżyć do jednego, co cierpiał więcej od innych, ale uciekł i skrył się gdzieś za drzewami. Inni z bólu rozdzielali sobie szaty, spod których widać było pełno węzów i żmij kęsających. Na szczęście, w pobliżu biło źródło, z którego buchała obficie świeża woda przesycona ślazem. Kto w nim się umył, bywał oczyszczony, uleczony i bez kłopotów mógł wrócić na tratwę. Zachęciłem, więc tych nieszczęśliwych, aby z tego skorzystali. Większość usłuchała, paru tylko odmówiło. Nie zwlekałem dłużej, uzdrowionych wezwałem na tratwę i ci poszli ze mną bez przeszkód ze strony owych potworów, które powoli się oddalały. Zaledwie wsiedliśmy, tratwa pod naporem wichru popłynęła dalej cieśniną i wjechała na pełne morze. My wszyscy uradowani zaśpiewaliśmy całym sercem „Cześć Maryi...” dziękując Jej za dotychczasową opiekę. Podczas tego śpiewu burza się uspokoiła, fale się wygładziły i nasz okręt mógł najspokojniej płynąć dalej, jakby popychany, niby wiosłując figlarnie.

A oto zjawia się na niebie wspaniała tęcza, piękniejsza od zorzy polarnej, a na niej wielkimi literami wypisany wyraz dla nas w pierwszej chwili niezrozumiały: M. E. D. O. U. M. – mnie się zdaje, że każda z liter jest początkową słów: *Mater et Domina Orbis Universi Maria*. Matka i Pani całego wszechświata Maryja. Nareszcie po tej długiej i niebezpiecznej podróży, ukazała się na horyzoncie ziemia. Łatwo sobie wyobrazić, jak w miarę zbliżania się do upragnionego brzegu, coraz większa radość napełniała nasze serca. Tym większa zaś była, że wnet przekonaliśmy się, iż dojeżdżając do przepięknej okolicy urozmaiconej lasami i kępami cudnych drzew, mieniących się w blasku wschodzącego słońca, wszystko razem napawało nas błogim spokojem i uczuciem wytchnienia. Wnet odczuliśmy, jak tratwa

otarła się o przybrzeżny piasek i jeszcze sunąc się po nim chwilę zatrzymała się u stóp wspaniałej winnicy. Do tej naszej tratwy można było zastosować słowa: *Eam tu Deus Pontem fecisti* – pomostem dla mnie stała się z woli Bożej, którym z fal świata do portu spokojnego mogliśmy się dostać. Chłopcy jednym skokiem znaleźli się na łodzi, mając wielką ochotę dostać się do winnicy.

Po kilku krokach przypomniawszy sobie owych nieszczęśliwych, co uprzednio samowolnie z tratwy się oddalili i marnie zginęli, wrócili jak najprędzej na barkę. Oczy wszystkich zwrócone były na mnie i można w nich wyczytać pytanie: Księżu Bosko, czy już czas? Możemy już wysiadać? Owszem, rzekłem po chwili namysłu. wysiadamy, już czas. Jesteśmy w bezpiecznym miejscu. Wśród ogólnych okrzyków radości, zacierając ręce z zadowolenia, chłopcy rozbiegli się po winnicy. Była ona starannie utrzymana. Wielkie złociste winogrona dorównywały tym z Ziemi Obiecanej, a owoce na drzewach były jak w raju, piękne na wejrzenie i do jedzenia słodkie. Dalej w głębi tej winnicy wznosił się wielki zamek, otoczony wspaniałym parkiem i potężnymi murami. Do niego skierowaliśmy nasze kroki. Wstęp był wolny, a byliśmy bardzo zmęczeni i głodni. Na szczęście, w jednej z sal, całej wyzłacanej, znaleźliśmy wielki stół z wybornymi potrawami, których każdy mógł zakosztować do woli. Oczywiście, skorzystaliśmy z tego bardzo chętnie.

Gdy już kończył się nasz posiłek, wszedł do sali elegancki pan bogato ubrany, o miłej powierzchowności, który po przyjacielsku nas pozdrowił, wymieniając wszystkich po imieniu. Zauważywszy nasze zdumienie na widok jego piękności i tego, co już zaobserwowaliśmy. Uspokoił nas mówiąc: To jeszcze nic, chodźcie a zobaczycie. I poszliśmy za nim. Z balkonu pokazał nam cały park i przyległe ogrody mówiąc, to wszystko nasze, byśmy mieli miejsce na zabawy. Następnie oprowadzał nas po dalszych salach coraz bogatszych i zdobniejszych, aż wreszcie otworzył drzwi misternie rzeźbione, wprowadził nas do kaplicy. Zewnątrz wydawała się ona mała, ale wewnątrz była tak

obszerna, że ledwie jej koniec można było dostrzec. Posadzka, ściany, sklepienia, wszystko było wykonane artystycznie z marmuru spajanego złotem i srebrem, wysadzone drogocennymi kamieniami. Zachwycony tak wspaniałością wykrzyknąłem: Ależ chyba tylko w samym raju może być tak pięknie. Słowo daje, że stąd się nie ruszę. W środku olbrzymiej tej świątyni, na potężnym postumencie wznosiła się majestatyczna statua przedstawiająca Maryję Najświętszą Wspomożycielkę. Zawołałem, czym prędzej chłopców, którzy rozeszli się oglądać szczegóły tego świętego miejsca i razem z nimi stanąłem przed statua, aby podziękować Pani Niebiańskiej za tyle łask wyświadczonych.

Rozejrzawszy się po chłopcach teraz dopiero oceniłem rozmiar tej świątyni, bo choć chłopców były tysiące, to wydawało mi się, iż stoi nas tylko mała grupka. Gdy tak chwilę staliśmy nie mogąc się nadziwić niebiańskiej piękności owej statuy, ta zaczęła się ożywiać i do nas uśmiechać. Między chłopcami powstał ruch i szmer. Matka Boska porusza oczami, wołali niektórzy. Rzeczywiście, Maryja Najświętsza spoglądała na nas wzrokiem pełnym macierzyńskiej dobroci. Za chwilę zrywa się ogólny krzyk: Matka Boska porusza rękami. Rzeczywiście wyciągnęła do nas swoje ręce, rozpostarła płaszc jakby nas chciała pod niego przyciągnąć. Łzy spłynęły nam wszystkim po policzkach. Matka Najświętsza porusza wargami, wyszeptało kilku. Zapanowała głęboka cisza, a Madonna otworzywszy swe usta, głosem przedziwnie miłym i słodkim zapewniła nas:

Jeśli wy będziecie dla mnie oddanymi synami, to ja będę dla was czułą Matką.

Na te słowa padliśmy na kolana śpiewając z całego serca: „*Lodate Maria o linque fedeli*”, „wielbicie Maryję języki wszystkich wiernych”.

Potężna ta melodia, tak miła dla ucha, wzruszyła mnie do reszty, tak że obudziłem się.

Moi kochani chłopcy, w tym śnie oglądamy morze wzburzone tego świata. Jeśli będziecie względem mnie ulegli i posłuszni, nie

dając się powodować złym podszeptom, to i unikniecie grzechu, opanujecie swoje namiętności i dokonacie wiele dobrego, a w końcu dobijemy wszyscy szczęśliwie do portu zbawienia. Wtedy wyjdzie nam naprzeciw Posłaniec Najświętszej naszej Madonny, który w Imieniu Boga zaprowadzi nas do królewskich ogrodów, czyli do Nieba. Jeśli zaś postępowałibyście według własnego kaprysu, nie słuchając mych wskazówek ulegniecie rozbiciu.

Ksiądz Bosko jeszcze i później w różnych okolicznościach dawał prywatnie wyjaśnienia odnośnie do powyższego snu. Oto ich ogólne streszczenie.

Łąka, to świat; woda grożąca zatopieniem nas, to niebezpieczeństwa światowe; powódź rozszerzająca się tak straszliwie, to występki nagminne, zasady bezbożne i prześladowanie dobrych; młyn, czyli miejsce spokojne i odosobnione, jako dom chleba, to Kościół Święty Katolicki, kosze z chlebem, to Eucharystia, służąca na pokrzepienie w podróży; tratwa, to Oratorium; pień po którym przechodziło się z młyna na tratwę, to Krzyż czyli ofiara ze siebie Bogu przez umartwienie; deska, jako niby wygodniejsza kładka do przejścia na barkę, to reguła przekraczana. Wielu wciska się na tę barkę dla celów dziwacznych i niskich, dla kariery, dla zysku, honorów, wygodniejszego życia niżby mieli w świecie ci, oczywiście potem zaniedbują praktyki pobożne i jeszcze się z drugich podśmiechują. Księża i klerycy są symbolem posłuszeństwa i cudów, jakich dokonują w pracy nad zbawieniem bliźnich; wiry wodne, to różne prześladowania, jakie były i będą; wyspa zatopiona później, to nieposłusznicy, którzy powracają do świata, gardząc swym powołaniem. To samo odnosi się do tych, co przechodzą na inne okręty. Ci, co się z wody uratowali z pomocą innych, to ci, co po upadku w spowiedzi odzyskują łaskę Bożą; cieśnina, pokraczne potwory, małpy, to różnego rodzaju bunty, okazje do grzechu, powaby, pokusy itd. Robaki w oczach, na języku, w sercu, to spojrzenie nieskromne, rozmowy śliskie, przywiązanie nieodpowiednie; fontanna z wodą orzeźwiającą, to Sakramenty święte; owe błota i piec ognisty,

to miejsce grzechu, ale zarazem i potępienia.

Tu jednak trzeba zauważyć, że Ksiądz Bosko i przy innych snach to podkreślał, iż jeśli kogo widział w miejscu potępienia, to nie znaczy, że ten na pewno będzie potępiony, tylko oznacza, że gdyby taki żył w tym usposobieniu, w jakim jest w danej chwili snu, to by takie życie doprowadziło go do wiecznej zguby. Ów ład szczęśliwy, winnica, świątynia, to Towarzystwo Salezjańskie już ustabilizowane i zwycięskie. Paź wspaniały oprowadzający Księdza Bosko z chłopcami po pałacu, to pewno jeden ze zmarłych wychowanków Oratorium, a może sam Dominik Savio. (MB IT VIII, 275-283 / MB PL VIII 139-147)

List z Rzymu (1884)

W 1884 r., podczas pobytu w Rzymie, na kilka dni przed powrotem do Turynu, ksiądz Bosko miał dwa sny, które zapisał w liście wysłanym do swoich ukochanych wychowanków na Valdocco. Jest on znany jako „List z Rzymu” i jest jednym z najczęściej studiowanych i komentowanych tekstów. Proponujemy pełny, oryginalny tekst do przeczytania.

Moi najdrożsi synowie w Jezusie Chrystusie!

Czy jestem blisko, czy daleko, zawsze myślę o was. Jedynym moim pragnieniem jest widzieć was szczęśliwymi teraz i w wieczności. Ta myśl i to pragnienie skłoniły mnie do napisania wam niniejszego listu. Przeżywam, moi drodzy, bardzo ciężko tę rozłąkę z wami i to, że nie mogę was widzieć ani słyszeć sprawia mi wielką przykrość, której nawet nie możecie sobie wyobrazić. Dlatego już przed tygodniem chciałem do was napisać, ale nawał zajęć na to mi nie pozwolił. Chociaż więc niewiele dni pozostaje do mojego powrotu, pragnę uprzedzić to

moje przybycie do was przynajmniej listownie, nie mogąc uczynić tego jeszcze osobiście. Są to słowa tego, który kocha was serdecznie w Jezusie Chrystusie i poczuwa się do obowiązku mówić do was swobodnie jak ojciec, i myślę, że wy mi na to pozwolicie, prawda? Przyjmiecie z uwagą te moje słowa i wprowadzicie w czyn to, co wam napiszę.

Powiedziałem, że myśl moja jest stale i wyłącznie zajęta wami. Otóż któregoś z minionych wieczorów udałem się do pokoju i przygotowując się na spoczynek, zacząłem odmawiać modlitwy, jakich mnie nauczyła jeszcze moja droga mama. Nagle, nie wiem dobrze, czy się zdrzemnąłem, czy też popadłem w jakieś roztargnienie, zdawało mi się, że zjawili się jakoby przede mną dwaj dawni wychowankowie z Oratorium. Jeden z nich zbliżył się do mnie i pozdrowiwszy mnie serdecznie, powiedział:

– O, Księżę Bosko! Czy Ksiądz mnie poznaje?

– Oczywiście, odrzekłem, że cię poznaję.

– A czy Ksiądz jeszcze sobie mnie przypomina? – dodał.

– Ciebie i wszystkich innych. Ty jesteś Valfre i byłeś w Oratorium przed rokiem 1870.

– Proszę mi powiedzieć, ciągnął tenże, czy chciałby Ksiądz zobaczyć chłopców, którzy byli wtedy w Oratorium?

– Tak, pokaż mi ich, odpowiedziałem, sprawi mi to wielką przyjemność.

Wówczas Valfre ukazał mi wszystkich chłopców z tamtych czasów, takich, jakimi wówczas byli, tego samego wzrostu i wieku. Zdawało mi się, że jestem w dawnym Oratorium w czasie rekreacji. Był to widok pełen życia, ruchu i wesołości. Jedni biegali, inni skakali lub pomagali skakać drugim. Tu bawiono się w harce, tam w chorągiewkę lub w piłkę. W jednym miejscu gromadka chłopców otaczała księdza, zasłuchana w opowiadanie jakiejś historyjki. Gdzie indziej kleryk zabawiał inną grupę

chłopców gra w latającego osła i innymi sztuczkami. Zewsząd śpiewy, wrzawa, a wszędzie klerycy i księża w otoczeniu chłopców, którzy pokrzykiwali radośnie. Widać było, że między chłopcami a przełożonymi panowała jak największa serdeczność i zaufanie. Gdy z zachwytem przypatrywałem się temu widokowi, Valfre powiedział mi:

– Widzisz, duch rodzinny rodzi miłość, a miłość budzi zaufanie, które otwiera serca i chłopcy bez obawy zwierzają się ze wszystkim przed nauczycielami, asystentami i przełożonymi. Stają się szczerzy w spowiedzi i poza nią i gotowi spełnić wszystko, co im poleci ten, którego miłości są pewni.

W tym momencie zbliżył się do mnie inny dawny wychowanek, mający śnieżnobiałą brodę i zapytał:

– Księżę Bosko, czy zechciałby Ksiądz poznać i zobaczyć chłopców, którzy obecnie przebywają w Oratorium? (Był to Józef Buzzetti).

– Bardzo chętnie, odpowiedziałem, gdyż mija już miesiąc, jak ich nie widzę. I ukazał mi ich.

Zobaczyłem Oratorium i was wszystkich na rekreacji. Nie było już słychać radosnej wrzawy ani śpiewów i nie widziało się już ani tego ruchu ani życia, jak w poprzednim obrazie. W ruchach i na twarzy wielu chłopców znać było nudę i zniechęcenie, zadąsanie i nieufność, co mnie bardzo zmartwiło. Widziałem wprawdzie wielu, którzy biegali i bawili się beztrosko, lecz tylu innych stało samotnie, oparci o filary, oddani posępnym myślom; drudzy błąkali się po schodach, korytarzach lub tarasach od strony ogrodu, aby nie brać udziału we wspólnej rekreacji; inni zaś przechadzali się grupkami wolnym krokiem i rozmawiali ze sobą półgłosem, spoglądając wkoło podejrzliwie i złośliwie, wybuchając czasem śmiechem, któremu towarzyszyły spojrzenia takie, że nie tylko można było przypuszczać, ale być pewnym, że św. Alojzy musiałby się zarumienić, gdyby się

znalazł w ich towarzystwie; również w śród bawiących się niektórzy byli tak znudzeni, że było wyraźnie widać, że nie znajdują żadnej przyjemności w tych rozrywkach.

– Czy widzi Ksiądz swoich chłopców? – zagadnął mnie dawny wychowanek.

– Widzę ich, odrzekłem z westchnieniem.

– Jakże bardzo różnią się od tych, jakimi my byliśmy swego czasu! – zawołał ów dawny wychowanek.

– Niestety. Co za ociężałość w tej rekreacji!

– Tu właśnie jest powód oziębłości u wielu w przystępowaniu do sakramentów świętych, zaniedbywania praktyk pobożności w kościele i poza nim, niechętnego przebywania w miejscu, gdzie Opatrzność Boża obsypuje ich wszelkimi darami dla ciała, dla duszy i umysłu; tu tkwi przyczyna, że wielu nie idzie za głosem powołania, stąd też wywodzi się niewdzięczność wobec przełożonych, stąd tajemnicze zmywy i szemrania ze wszystkimi innymi przykrymi następstwami.

– Rozumiem, pojmuję, odpowiedziałem. Lecz jakim sposobem można by tchnąć nowego ducha w tych moich drogich chłopców, aby im przywrócić dawną żywość, wesołość i wylewność?

– Miłością!

– Miłością? Lecz czyż moi chłopcy nie są dość kochani? Wiesz przecież, jak bardzo ich kocham. Wiesz, ile dla nich wycierpiałem, czego nie zniosłem w ciągu długich czterdziestu lat oraz ile znoszę jeszcze teraz. Ile trudów i upokorzeń, ile przeciwności i prześladowań zniosłem, aby im zapewnić chleb, mieszkanie, nauczycieli, a zwłaszcza w trosce o zbawienie ich dusz. Zrobiłem wszystko, co mogłem i potrafiłem zrobić dla tych, którzy stanowią jedyne umiłowanie mojego życia.

– Ja nie mówię o Księdzu!

– A więc o kim? Może o tych, co mnie zastępują? O dyrektorach, prefektach, nauczycielach, asystentach? Czy nie widzisz, że są to męczennicy nauki i pracy? jak zdzierają swoje młode lata dla tych, których im Opatrzność powierzyła?

– Wiem i znam to, ale to nie wystarcza, potrzeba czegoś ważniejszego.

– Czego więc potrzeba?

– Żeby chłopcy nie tylko byli kochani, ale żeby oni sami poznali, że są kochani.

– A czyż nie mają oczu? Nie mają światła rozumu? Czyż nie widzą, że to wszystko, co się dla nich czyni pochodzi z miłości?

– Nie, powtarzam, to nie wystarcza!

– Czegóż więc jeszcze potrzeba?

– Trzeba, aby czując, że są kochani w tym, co im sprawia przyjemność, i widząc, że się uczestniczy w ich młodzieńczych upodobaniach, nauczyli się dostrzegać miłość również w sprawach, które z natury mniej się podobają, jak: karność, nauka, umartwienie samych siebie; i te rzeczy powinni się nauczyć wykonywać z miłością.

– Wytłumacz to lepiej!

– Proszę przypatrzyć się chłopcom na rekreacji.

– Przyglądałem się, a potem odparłem: i cóż szczególnego jest tam do zauważenia?

– Tyle lat wychowuje Ksiądz chłopców, a nie może pojąć? Proszę przypatrzyć się lepiej! Gdzie są nasi salezjanie?

Przyjrzałem się i zauważyłem, że za mało kleryków i księży znajdowało się wśród chłopców, a jeszcze mniej brało udział w ich zabawach. Przełożeni nie byli już duszą rekreacji.

Większość z nich przechadzała się, rozmawiając ze sobą i nie zwracano uwagi na to, co czynią wychowankowie; drudzy przypatrywali się rekreacji, ale nie ujawniali najmniejszej troski o chłopców; inni czuwali nad nimi z dala, nie zwracając jednak uwagi tym, którzy popełniali jakieś wykroczenia; ktoś tam upominał ich, ale z miną surową i to jeszcze rzadko. Było też kilku salezjanów, którzy chcieli się przyłączyć do jakiejś grupy, lecz spostrzegłem, że ci chłopcy umyślnie starali się unikać nauczycieli i przełożonych.

Wówczas mój przyjaciel podjął rozmowę:

– Czy w dawnych czasach w Oratorium nie przebywał Ksiądz stale wśród chłopców, a zwłaszcza w czasie rekreacji? Pamięta Ksiądz te piękne lata? Był to okres rajskiego szczęścia, czas, który zawsze mile wspominamy, ponieważ właśnie miłość była regułą naszego życia, a my nie kryliśmy żadnych tajemnic przed Księdzem.

– Tak to prawda! Wówczas wszystko było dla mnie radością, a chłopcy z zapałem zbliżali się do mnie, by ze mną porozmawiać, z żywym pragnieniem wysłuchać moich rad i stosować je w praktyce. Dziś jednak, jak widzisz, ciągłe posłuchania, różnorakie zajęcia i moje zdrowie już mi na to nie pozwalają.

– Dobrze. Lecz jeśli Ksiądz nie może, dlaczego salezjanie nie starają się Księdza naśladować? Dlaczego Ksiądz nie nalega, nie wymaga, by odnosili się do chłopców tak, jak Ksiądz się do nich odnosił?

– Ja mówię, zrywam płuca, lecz niestety, wielu nie umie się zdobyć na takie trudy jak dawniej.

– I tak, zaniedbując to, marnują to, czyli swe własne trudy. Niech polubią to, się podoba chłopcom, a wtedy oni polubią to, co się podoba przełożonym. W ten sposób ich trud stanie się łatwiejszy. Przyczyną obecnej zmiany w Oratorium jest to, że pewna liczba chłopców nie ma zaufania do przełożonych. Dawniej serca były otwarte przed przełożonymi, których chłopcy kochali

i słuchali chętnie. Lecz dzisiaj przełożonych uważa się za przełożonych, a już nie za ojców, braci i przyjaciół; dlatego chłopcy boją się ich i mało ich kochają, jeśli się pragnie stworzyć jedno serce i duszę jedną ze względu na miłość Chrystusa, to trzeba przełamać tę zgubną barierę nieufności i zastąpić ją serdecznym zaufaniem. Posłuszeństwo niech tak kieruje wychowankiem, jak matka prowadzi swoje dziecko, a wtedy w Oratorium zapanuje pokój i dawna radość.

– Cóż więc robić, aby przełamać tę barierę?

– Serdeczność z chłopcami, zwłaszcza na rekreacji! Inaczej nie okaże się chłopcom miłości i nie zdobędzie się ich zaufania. Kto chce być kochanym, musi dać poznać, że sam kocha. Jezus Chrystus stał się małym z maluczkimi i dźwigał nasze słabości. On jest nauczycielem serdeczności. Nauczyciel widziany jedynie na katedrze, jest tylko nauczycielem i niczym więcej; lecz jeśli przestaje z chłopcami na rekreacji, staje się niejako bratem. Jeśli się widzi kogoś przemawiającego z ambony, mówi się, że spełnia jedynie swój obowiązek; lecz jeśli powie jakieś słowo na rekreacji, będzie to słowo kogoś, kto miłuje. Przyczyną iluż to nawróceń były słowa szepnięte niespodziewanie w czasie rozrywki! Kto wie, że jest kochany, kocha, a kto jest kochany, uzyska wszystko, zwłaszcza od młodzieży. Zaufanie wytwarza jakby prąd elektryczny, który przechodzi między chłopcami a przełożonymi. Otwierają się serca, ujawniają swoje potrzeby i odkrywają swoje wady. Miłość pozwala przełożonym znosić trudy, natręctwa, niewdzięczność, przeszkadzanie, uchybienia, niedbalstwa chłopców. Jezus Chrystus nie złamał trzciny nadłamaney, ani nie zgasił tlejącego knotka. Oto wasz wzór. Wówczas nie zdarzy się już, żeby ktoś pracował dla próżnej chwały, by ktoś karał jedynie, aby pomścić obrażoną miłość własną, aby ktoś się uchylał od asystencji, bo zazdrośnie się obawia przewagi innych. Nikt nie będzie krytykował drugiego, chcąc wyłącznie dla siebie pozyskać miłość i szacunek chłopców, z pominięciem wszystkich innych przełożonych i zyskiwać w ten sposób tylko obłudne

pochlebstwa i wzgardę; nikt nie da sobie opanować serca przywiązaniem tylko do jednego z chłopców i nie będzie pomijał wszystkich innych, aby tylko adorować jednego; nikt dla zaspokojenia własnych wygod nie zaniedba najściślejszego obowiązku czujności; nikt też dla próżnego względu ludzkiego nie powstrzyma się od upomnienia tego, kogo upomnieć należy. Jeżeli będzie panować prawdziwa miłość, nie będzie się szukało niczego innego, jak tylko chwały Bożej i zbawienia dusz. Natomiast jeśli miłość słabnie, wówczas sprawy nie postępują już dobrze. Dlaczego w miejsce miłości chce się zaprowadzić zimny regulamin? Dlaczego przełożeni uchylają się od przestrzegania tych zasad wychowawczych, jakie im wskazał Ksiądz Bosko? Dlaczego system zapobiegania nieporządkom przez czuwanie i serdeczność zastępuje się stopniowo mniej uciążliwym i łatwiejszym dla rozkazującego systemem wydawania praw, do których zachowania jeśli się zmusza karami, to rozpalają one tylko nienawiść i wywołują przykre skutki, a jeśli się nie pilnuje ich zachowania, to budzą pogardę dla przełożonych i są przyczyną poważnych wykroczeń?

Wszystko to jest koniecznym następstwem braku ducha rodzinnego. Jeśli się więc pragnie, żeby Oratorium wróciło do pierwotnej szczęśliwości, należy przywrócić dawny system wychowania. Przełożony niech będzie wszystkim dla wszystkich, skory zawsze do wysłuchania jakiegokolwiek wątpliwości czy skargi chłopców. Niech z ojcowską troskliwością czuwa nad ich postępowaniem, całym sercem szuka dobra duchowego i doczesnego tych, których Opatrzność mu powierzyła. Wówczas serca nie będą więcej zamknięte i nie będzie więcej takich sekretów, które zabijają. Jedynie w przypadku niemoralności niech przełożeni będą nieubłagani. Lepiej będzie podjąć ryzyko usunięcia z domu kogoś niewinnego, aniżeli zatrzymać gorszyciela. Asystenci niech się poczuwają do najściślejszego obowiązku sumienia, by informować przełożonych o sprawach, o których w jakikolwiek sposób się dowiedzą, że są obrazą Bożą.

– A wtedy zapytałem: Jakiego szczególnego środka użyć, by

zatriumfowały: taki duch rodzinny, taka miłość i zaufanie?

– Dokładne zachowywanie regulaminu domu.

– I nic więcej?

– Najlepszym daniem przy obiedzie jest przyjemny wyraz twarzy. Podczas gdy mój dawny wychowanek kończył mówić, a ja z wielką przykrością przyglądałem się tej rekreacji, zacząłem stopniowo odczuwać ogromne znużenie, które coraz bardziej się wzmagało i aż doszło do takiego punktu, że już nie mogąc dłużej wytrzymać, wzdrygnąłem się i przebudziłem. Stałem obok mego łóżka. Nogi miałem tak spuchnięte i obolałe, że wprost nie mogłem już dłużej ustać prosto. Było już bardzo późno, więc położyłem się na spoczynek z postanowieniem, żeby to wszystko opisać moim drogim synom.

Wolałbym nie mieć takich snów, gdyż bardzo mnie męczą. Nazajutrz byłem zupełnie wyczerpany i nie mogłem się doczekać godziny wieczornego spoczynku. Lecz oto, zaledwie się położyłem, rozpocząłem śnić na nowo. Widziałem przed sobą podwórze, chłopców, którzy są teraz w Oratorium i tego samego dawnego wychowanka. Zacząłem go pytać:

– To, co mi powiedziałeś przekażę moim salezjanom, ale co mam powiedzieć chłopcom z Oratorium?

Odpowiedział mi: – Niech uznają, że przełożeni, nauczyciele i asystenci trudzą się i poświęcają z miłości dla nich, gdyż tylko wzgląd na ich dobro każe im podejmować się tak wielkich poświęceń. Niech pamiętają, że pokora jest źródłem wszelkiego pokoju. Niech umieją znosić wady drugich, gdyż na tym świecie nie ma doskonałości, lecz będzie ona naszym udziałem dopiero w niebie. Niech zaprzestaną szemrań, gdyż te wystudzają serca, a przede wszystkim niech się starają żyć w świętej łasce Bożej. Kto nie żyje w pokoju z Bogiem, ten nie żyje też w pokoju z samym sobą, ani z innymi.

– Więc powiadasz, że wśród moich chłopców są tacy, którzy nie

żyją w pokoju z Bogiem?

– Tak, to jest pierwsza przyczyna złego nastroju, pierwsza z wielu, o których Ksiądz wie i musi im zaradzić, i nie ma potrzeby, abym teraz o nich mówił. Istotnie brakiem zaufania odznacza się tylko ten, kto kryje jakieś tajemnice i obawia się, żeby one nie wyszły na jaw, ponieważ wie, że to okryłoby go wstydem i popadłby w niełaskę. Równocześnie, jeśli serce nie ma pokoju z Bogiem, jest niespokojne, udręczone, krnąbrne; byle co je drażni, zdaje mu się, że wszystko idzie źle, a ponieważ nie ma w sobie miłości, sądzi, że i przełożeni go nie kochają.

– A przecież, mój drogi, nie widzisz, jak liczne są w Oratorium spowiedzi i Komunie św.?

– To prawda, że liczne są spowiedzi, lecz zasadniczym brakiem tylu chłopców, którzy się spowiadają jest niestałość w postanowieniach. Spowiadają się, lecz ciągle z tych samych uchybień, z tych samych niebezpiecznych okazji, z tych samych złych nawyków, nieposłuszeństwa, z tych samych zaniedbań w obowiązkach. I tak ciągnie się to miesiącami, a nawet latami i niejedni dochodzą w ten sposób aż do piątej klasy gimnazjalnej. Są to spowiedzi, które znaczą niewiele, albo zgoła nic, i stąd nie przynoszą spokoju, a gdyby w tym stanie ducha młodzieniec został powołany na sąd Boży, miałby ciężką przeprawę.

– A czy wielu jest takich w Oratorium?

– Niewielu, w porównaniu z dużą liczbą wychowanków znajdujących się w domu. Proszę zobaczyć. – I zaczął mi ich wyliczać.

Patrzyłem na każdego z tych chłopców z osobna. Lecz u tych niewielu ujrzałem rzeczy, które głęboko przygnębiły moje serce. Nie chcę o tym pisać, ale gdy powrócę, powiem każdemu to, co jego dotyczy. Teraz wam tylko powiem, że najwyższy czas, aby zacząć się modlić i powziąć mocne postanowienia, nie

tylko w słowach, ale w czynach i wykazać, że Comollo, Dominik Savio, Besucco i Saccardi, żyją nadal między nami.

Na koniec zapytałem jeszcze mojego przyjaciela:

– Czy masz mi coś więcej do powiedzenia?

Głoś wszystkim, dużym i małym, by pamiętali, że są dziećmi Najświętszej Maryi Panny Wspomożycielki, że Ona ich tu zgromadziła, aby ich uchronić od niebezpieczeństw tego świata, by się kochali jak bracia i aby oddawali cześć Bogu i Jej swoim dobrym postępowaniem. Mów, że to Ona, Matka Boża, stara się dla nich o chleb i środki do nauki, dzięki niezliczonym łaskom i cudom. Niech pamiętają, że zbliża się święto ich Matki niebieskiej i że z jej pomocą powinna runąć bariera nieufności, jaką szatan zdołał wznieść między chłopcami a przełożonymi i którą się posługuje na zgubę niejednej duszy.

– Czy jednak zdołamy obalić tę barierę?

– Z całą pewnością, byle tylko tak wielcy jak i mali byli gotowi znieść jakieś umartwienie z miłości do Maryi i zastosowali w życiu to, co powiedziałem.

Tymczasem ja przyglądałem się nadal swoim chłopcom i na widok tych, których widziałem na drodze do wiecznej zguby, uczułem taki ból serca, że się przebudziłem. Jeszcze wiele innych bardzo ważnych rzeczy, jakie widziałem, chciałbym wam opowiedzieć, lecz czas i względy stosowności nie pozwalają mi na to.

Kończę. Wiecie, czego pragnie od was ten biedny starzec, który całe swe życie sterał dla swych drogich chłopców? Nic innego, jak tylko, żeby znów we właściwym stopniu wróciły szczęśliwe dni dawnego Oratorium. Dni miłości i chrześcijańskiego zaufania między chłopcami i przełożonymi, dni uległości i wzajemnej wyrozumiałości jednych i drugich z miłości do Jezusa Chrystusa, dni otwarcia serc z całą szczerością i prostotą, dni miłości i prawdziwej radości dla wszystkich. Pragnę,

abyście mnie pocieszyli, dając mi nadzieję i obietnicę, że uczynicie wszystko, czego pragnę dla dusz waszych. Wy nie zdajecie sobie dobrze sprawy, jak wielkim szczęściem jest dla was pobyt w Oratorium. Oświadczam wam wobec Boga: wystarczy, że jakiś chłopiec został przyjęty do domu salezjańskiego, aby Najświętsza Maryja Panna wzięła go zaraz pod swoją szczególną opiekę. – Zawrzyjmy zatem wszyscy przymierze. Miłość tych, co rozkazują i tych, co słuchają niech sprawi, by zakwitnął wśród nas duch św. Franciszka Salezego. O, moi drodzy synowie! Zbliża się chwila, w której będę się musiał z wami rozstać i odejść do wieczności. (Uwaga sekretarza: Tu Ksiądz Bosko przerwał na chwilę dyktowanie, oczy zaszczyły mu łzami, nie z powodu przykrości, lecz z powodu niewymownego wzruszenia, jakie przebijało z jego wzroku i z tonu głosu; po pewnej chwili ciągnął dalej). Pragnę zatem, o najdrożsi księża, klerycy i chłopcy, pozostawić was na tej drodze, na której sam Bóg chce was widzieć. – Z tą myślą Ojciec św., którego widziałem w piątek 9 maja, przesyła wam z całego serca swoje błogosławieństwo.

W uroczystość Maryi Wspomożycielki będę już razem z wami przed obrazem naszej ukochanej Matki. Chcę, by to wielkie święto było obchodzone z całą okazałością, a ks. Lazzero i ks. Marchisio niech się postarają, żeby nie brakło radości także w jadalni. Święto Maryi Wspomożycielki powinno być preludium do wiekuistego święta, jakie obchodzić będziemy zjednoczeni wszyscy razem, gdy pewnego dnia znajdziemy się w niebie.

Wasz przyjaciel w Jezusie Chrystusie

Ks. Jan Bosko

Rzym, 10 maja 1884

(MB IT XVII, 107-114/ MB PL XVII, 67-73)

Sen z 9. roku życia

Seria „snów” księdza Bosko rozpoczyna się od tego, który miał w wieku dziewięciu lat, około 1824 roku. Jest to jeden z najważniejszych, jeśli nie najważniejszy, ponieważ wskazuje na misję powierzoną Jankowi przez Opatrzność, która przybiera konkretną formę w szczególnym charyzmacie w Kościele. W przyszłości pojawi się wiele innych, z których większość zostanie zebrana we Pamiętnikach biograficznych i podjęta w innych publikacjach poświęconych temu tematowi. Proponujemy przedstawić te najbardziej istotne w kilku kolejnych artykułach.

W tym wieku miałem sen, który zapadł mi w pamięć na całe życie. We śnie zdawało mi się, że jestem niedaleko domu, na bardzo rozległym podwórku, gdzie zebrała się rzesza chłopców zajętych zabawą. Jedni się śmiali, inni się bawili, wielu z nich bluźniło i przeklinało. Słyszając te bluźnierstwa, rzuciłem się w stronę chłopaków z pięściami i krzykiem, żeby ich uciszyć. W tej chwili pojawił się dostoyny mężczyzna w sile wieku, wspaniale ubrany. Biały płaszcz spowijał go całego, ale jego twarz tak jaśniała, że nie mogłem w nią spoglądać. Zwrócił się do mnie po imieniu i polecił mi stanąć na czele tych chłopców, dodając następujące słowa: „

– Nie biciem, ale łagodnością i miłością masz pozyskać tych swoich przyjaciół. Zaczynaj więc natychmiast pouczać ich o brzydocie grzechu i o szlachetności cnoty”.

Zmieszany i przerażony odpowiedziałem, że jestem biednym i nieuczonym dzieckiem, które nie umie rozmawiać z tymi chłopcami o religii. W jednej chwili ci młodzieńcy przestali się bić, wrzeszczeć i bluźnić i wszyscy skupili się wokół Tego, który mówił.

Niemal nie wiedząc, co mówię, zapytałem:

– Kim jesteś Panie, że nakazujesz mi rzeczy niemożliwe?

– Właśnie dlatego, że to wydają ci się niemożliwe, musisz uczynić je możliwymi przez posłuszeństwo i nabycie wiedzy.

- Gdzie, jakim sposobem mogę nabyć wiedzę?
- Ja dam ci nauczycielkę, pod której pieczęcią możesz stać się mądry, a bez której wszelka wiedza zamienia się w głupotę.
- Kim jesteście, że mówicie do mnie w ten sposób?
- Jestem Synem Tej, którą twoja mama uczyła cię pozdrawiać trzy razy dziennie.
- Moja mama mówi mi, żebym bez jej pozwolenia nie przyłączał się do tych, których nie znam. Dlatego proszę powiedzieć mi swoje imię.
- O moje imię zapytaj moją Matkę.

W tej chwili zobaczyłem obok niego kobietę o dostojnym wyglądzie, odzianą w płaszczy, który cały jaśniał, jak gdyby każdy jego skrawek był najjaśniejszą gwiazdą. Widząc, że coraz bardziej jestem zmieszany w moich pytaniach i odpowiedziach, dał mi znak, żebym do Niej podeszedł. Wzięła mnie z dobrocią za rękę i powiedziała: „Spójrz”. Spoglądając, zauważyłem, że wszyscy chłopcy rozpierzchli się, a zamiast nich zobaczyłem stado koziołków, psów, kotów, niedźwiedzi i trochę innych zwierząt.

- „Oto twoje pole, oto, gdzie masz pracować. Bądź pokorny, silny, wytrzymały, a to, co w tej chwili dzieje się ze zwierzętami, ty masz uczynić dla moich dzieci”.

Odwróciłem się i spojrzałem znowu, a zamiast dzikich zwierząt pojawiło się tyle samo łagodnych baranków, które biegały podskakując i pobekując, jak gdyby ciesząc się z obecności tego mężczyzny i tej pani.

Wtedy, ciągle we śnie, zacząłem płakać i prosiłem mężczyznę, ażeby mówił tak, żebym zrozumiał, bo nie wiedziałem, o co chodzi, co to ma oznaczać. Wówczas położył mi rękę na głowie i powiedział:

- „W swoim czasie zrozumiesz wszystko”.

Po tych słowach zbudził mnie hałas, sen się rozwiął i wszystko znikło.

Byłem oszołomiony. Wydawało mi się, że bolą mnie ręce od owych razów, którymi okładałem chłopców, że twarz mnie piecze po otrzymanych uderzeniach. Do tego ten człowiek, ta kobieta, to wszystko, co zostało powiedziane i co usłyszałem do tego

stopnia zajmowało mi głowę, zaprzętało moje myśli, że owej nocy nie mogłem już zasnąć.

Z samego rana niezwłocznie opowiedziałem ten sen najpierw moim braciom, którzy zaczęli się śmiać, a potem mamie i babci. Każdy interpretował go po swojemu. Brat Józef powiedział: „Zostaniesz stróżem kóz, owiec albo innych zwierząt”. Moja mama: „Kto wie, czy nie masz zostać księdzem”. Antoni rzucił oschle: „Może będziesz przywódcą rozbójników”. Ale babcia, która wcale nie znała teologii i była zupełną analfabetką, wydała ostateczny werdykt, mówiąc:

- „Nie ma co zwracać uwagi na sny”.

Byłem tego samego zdania co babcia, ale mimo wszystko nie mogłem wyrzucić tego snu z myśli. To, co powiem dalej, nada mu pewne znaczenie. Ja nigdy o tych sprawach nie mówiłem, a rodzina, moi krewni nie zwracali na to uwagi. Kiedy jednak w 1858 roku pojechałem do Rzymu, aby rozmawiać z papieżem o zgromadzeniu salezjańskim, drobiazgowo kazał mi opowiedzieć o wszystkim, co miało nawet tylko pozory nadprzyrodzoności.

Wówczas to po raz pierwszy opowiedziałem o śnie, jaki miałem w wieku dziewięciu lat. Papież polecił mi spisać go w dosłownym znaczeniu, ze szczegółami, i pozostawić jako zachętę dla synów zgromadzenia, które stanowiło cel tej wyprawy do Rzymu (*Wspomnienia Oratorium*, w: *Źródła Salezjańskie*, s. 1382-1384).

Sen o dwóch kolumnach

Wśród snów księdza Bosko jednym z najbardziej znanych jest ten znany jako „Sen o dwóch kolumnach”. Opowiedział go wieczorem 30 maja 1862 roku.

„Chcę wam opowiedzieć o pewnym śnie. Prawdą jest, że ten, kto śni, nie rozumuje, niemniej jednak ja, który opowiedziałbym wam nawet moje grzechy, gdybym nie bał się, że

wszyscy uciekniecie i zburzycie dom, mówię wam dla waszej duchowej korzyści. Miałem ten sen przez kilka dni.

Wyobraźcie sobie – powiedział – że znajdujecie się ze mną nad morzem, na plaży albo raczej na samotnej skale, i że wokoło nas jest tylko morze. Na całej tej rozległej powierzchni wód widać niezliczone okręty płynące w szyku bojowym; ich dzioby zakończone są żelaznymi, zakrzywionymi ostrzami na podobieństwo strzał. Okręty uzbrojono w armaty i rusznice, we wszelkiego rodzaju broń; zaopatrzone w materiały wybuchowe, a nawet w księgi. Zbliżają się do okrętu większego i potężniejszego od pozostałych, i usiłują staranować go, podpalić, zniszczyć.

Ten majestatyczny, doskonale wyposażony okręt eskortują maleńkie stateczki, które odbierają od niego polecenia i wykonują tysiące manewrów, aby obronić się przed flotą przeciwnika. Wieje jednak przeciwny wiatr, a wzburzone morze zdaje się być przychylne wrogom.

Pośrodku bezkresu wód wznoszą się nad falami blisko siebie dwie grube i bardzo wysokie kolumny.

Na jednej z nich znajduje się posąg Niepokalanej Dziewicy, u stóp której wisi tablica z następującym napisem:

„AUXILIUM CHRISTIANORUM” (Wspomożenie wiernych);

na drugiej, jeszcze wyższej i grubszej, znajduje się HOSTIA rozmiarów proporcjonalnych do kolumny, a pod nią inna tablica, z napisem:

„SALUS CREDITIUM” (Zbawienie wierzących).

Wódz naczelny wielkiego statku, którym jest Rzymski Namiestnik, widząc furie nieprzyjaciół i fatalne położenie wiernych mu ludzi, gromadzi wokół siebie dowódców najważniejszych statków, aby postanowić, co dalej czynić. Wszyscy dowódcy wchodzą na pokład i zasiadają wokół papieża. Odbywa się uroczysta narada, ale w związku z nasilaniem się burzy wszyscy zostają odesłani, aby dowodzić własnymi statkami.

Po uspokojeniu się burzy papież powtórnie gromadzi wokół

siebie dowódców, podczas gdy statek dowodzący zdąża swym kursem. Jednak burza powraca.

Papież stoi przy sterze, a wszystkie jego wysiłki skierowane są ku temu, aby wprowadzić statek pomiędzy te dwie kolumny, ze szczytu których zwieszają się dookoła kotwice i wielkie, doczepione do łańcuchów haki.

Okręty nieprzyjacielskie usiłują go zaatakować i zatopić: jedne pismami, inne książkami, jeszcze inne materiałami wybuchowymi, które próbują przerzucić na pokład; niektóre strzelają z armat, rusznic i uderzają dziobami. Walka staje się coraz bardziej zażarta, ale wysiłki są daremne: wielki okręt płynie bezpiecznie. Czasem po uderzeniu strasznym ciosem otwiera się w jego boku szeroka i głęboka szczelina, ale natychmiast od dwóch kolumn wieje wiatr, który zamyka szczeliny i zatyka dziury.

Tymczasem armaty napastników rozrywają się, rusznice i wszelka inna broń łamie się, wiele okrętów zostaje zdruzgotanych i tonie w morzu. Wróg przystępuje do walki wręcz.

Nagle papież, silnie uderzony, upada. Natychmiast go podnoszą, ale on upada po raz drugi i umiera. Okrzyk zwycięstwa rozbrzmiewa wśród nieprzyjaciół; na ich okrętach widać niewypowiedzianą radość.

Jednak zaraz po śmierci jednego papieża drugi zajmuje jego miejsce. Zgromadzeni dowódcy wybrali go tak szybko, że wiadomość o śmierci papieża zbiega się z wiadomością o wyborze jego następcy. Wrogowie tracą ducha.

Nowy papież, pokonując wszystkie przeszkody, wprowadza okręt pomiędzy dwie kolumny i łańcuchami zwieszającymi się z dziobu i z rufy przywiązuje okręt do kolumny z Hostią i do kolumny z posągiem Niepokalanej Dziewicy.

I wtedy dokonuje się wielki przewrót: wszystkie okręty nieprzyjacielskie uciekają, rozpraszają się, zderzają, niszcząc się wzajemnie. Wiele tonie i usiłuje zatopić inne,

podczas gdy statki odważnie walczące u boku papieża dopływają, aby przywiązać się do kolumn. Teraz na morzu panuje wielki spokój».

W tym momencie Ksiądz Bosko zapytał księdza Rua:
"Co myślisz o tym śnie?".

Ks. Rua odpowiedział: "Wydaje mi się, że statek papieża to Kościół, okręty to ludzie, a morze – świat. Ci, którzy bronią wielkiego okrętu, są dobrzy, kochają Kościół; pozostali to jego wrogowie, którzy walczą z nim na wszystkie sposoby. Dwie zbawcze kolumny to moim zdaniem oddanie się Przenajświętszej Pannie i Przenajświętszemu Sakramentowi Eucharystii.

Dobrze powiedziałaś – skomentował Ksiądz Bosko – trzeba tylko jedno poprawić. Okręty wrogów to prześladowania. Nadchodzą dla Kościoła ciężkie czasy. To, co było do tej pory, jest niczym w porównaniu z tym, co ma nastąpić. Pozostają jedynie dwa sposoby, aby uratować się z tego zamętu: oddać się Przenajświętszej Pannie i często przystępować do Komunii Świętej.

Dobranoc!"

(M.B. VII, 169-171).

* * *

Sługa Boży [obecnie błogosławiony – przyp. tłum.] kardynał Schuster, arcybiskup Mediolanu, przywiązywał tak wielką wagę do tej wizji, że w 1953 r., kiedy przebywał w Turynie jako legat papieski na Krajowym Kongresie Eucharystycznym, w nocy 13 września, podczas uroczystego zakończenia, na Piazza Vittorio, wypełnionym ludźmi, poświęcił temu snu odpowiednią część swojej homilii.

Powiedział między innymi: „W tej uroczystej godzinie, w eucharystycznym Turynie Cottolengo i Księdza Bosko, przypomina mi się prorocza wizja, którą Fundator Świątyni Maryi Wspomożycielki opowiedział swoim w maju 1862 roku. Wydawało mu się, że widzi, jak flota Kościoła jest tu i tam bita przez fale straszliwej burzy; tak bardzo, że w pewnym

momencie najwyższy dowódca statku kapitańskiego – Pius IX – wezwał hierarchów mniejszych statków na radę.

Niestety burza, która zataczała coraz groźniejsze kręgi, przerwała Sobór Watykański w połowie (należy zauważyć, że Ksiądz Bosko zapowiedział te wydarzenia osiem lat przed ich rozpoczęciem). We wzlotach i upadkach tych lat, dwa razy ci sami Najwyżsi Pasterze padli na polu pracy. Kiedy nadszedł trzeci, pośród szalejącego oceanu zaczęły wyłaniać się dwa filary, na szczycie których zatriumfowały symbole Eucharystii i Niepokalanej Dziewicy.

Podczas tego objawienia nowy papież – błogosławiony Pius X – wziął się w garść i za pomocą mocnego łańcucha zaczepił stolicę Piotrową do tych dwóch solidnych filarów, opuszczając kotwice do morza.

Wtedy mniejsze statki zaczęły usilnie wiosłować, aby zgromadzić się wokół statku papieża i w ten sposób uniknęły katastrofy.

Historia potwierdziła przepowiednię. Początki pontyfikatu Piusa X z kotwicą w herbie zbiegły się dokładnie z pięćdziesięcioleciem ogłoszenia dogmatu o Niepokalanym Poczęciu Maryi i były obchodzone w całym katolickim świecie. Wszyscy pamiętamy dzień 8 grudnia 1904 r., kiedy Papież w Bazylice św. Piotra otoczył czoło Niepokalanego Poczęcia drogocenną koroną z klejnotów, poświęcając Matce całą rodzinę, którą powierzył Jej ukrzyżowany Jezus.

Przyprowadzanie niewinnych dzieci do Stołu Eucharystycznego stało się również częścią programu hojnego Papieża, który chciał odnowić cały świat w Chrystusie. Tak więc, dopóki żył Pius X, nie było wojny, a on zasłużył na tytuł pokojowego Papieża Eucharystii.

Od tego czasu warunki międzynarodowe nie poprawiły się; tak że doświadczenie trzech czwartych wieku potwierdza, że statek Rybaka na burzliwym morzu może mieć nadzieję na zbawienie tylko poprzez zaczepienie się na dwóch filarach Eucharystii i Maryi Wspomożycielki, która ukazała się Księdzu Bosko we śnie” (L’Italia, 13 września 1953 r.).

Ten sam świątobliwy kard. Schuster, powiedział kiedyś pewnemu salezjaninowi: „Widziałem reprodukcję obrazu wizji dwóch kolumn. Powiedz swoim przełożonym, aby ją powielili w formie druków i pocztówek i rozpowszechnili w całym świecie katolickim, ponieważ ta wizja Księdza Bosko jest bardzo aktualna: Kościół i lud chrześcijański zostaną zbawieni przez te dwa nabożeństwa: Eucharystię i Maryję, Wspomożycielkę”.

Ks. Pietro ZERBINO, sdb

Przepowiednie księdza Bosko i królowie Włoch

„Rodzina tych, którzy okradają Boga, nie sięga czwartego pokolenia”.

Kilka dni temu zmarł pretendent do tronu Włoch, [Wiktor Emmanuel Sabaudzki](#) (ur. 12.02.1937 – † 03.02.2024), piąty potomek pierwszego króla Włoch, Wiktora Emanuela II Sabaudzkiego. Został pochowany w krypcie bazyliki Superga w Turynie, gdzie znajdują się dziesiątki innych doczesnych szczątków rodu Sabaudzkiego. To wydarzenie przypomina nam o innych snach księdza Bosko, które się spełniły.

W listopadzie 1854 r. przygotowywano ustawę o konfiskacie dóbr kościelnych i likwidacji klasztorów. Aby była ważna, musiała zostać zatwierdzona przez króla Włoch, Wiktora Emanuela II Sabaudzkiego. Pod koniec listopada ksiądz Bosko miał dwa sny, które spełniły się jako przepowiednie dotyczące króla i jego rodziny. Przypomnijmy sobie fakty za księdzem Lemoyne.

O ile Ksiądz Bosko dbał zawsze o honor Boży to równocześnie dawał dowód przywiązania względem Domu Sabaudzkiego, od którego jego młodzież otrzymywała tyle dobrodziejstw. Zwłaszcza obie królowe: Maria Teresa, matka i Maria Adelajda, córka były całkowicie oddane wspieraniu sierot. Maria Teresa wdowa po królu Albercie i matka Wiktora Emanuela II posyłała często Księdzu Bosko znaczne jałmużny. Święty zatem przemyślał i modlił się o oddalenie groźnej chmury gromadzącej się nad domem królewskim. Miał on pewnej nocy, przy końcu listopada sen. Zdawało mu się, że znajduje się w miejscu obecnego głównego wejścia do Oratorium w otoczeniu księży i kleryków. W pewnej chwili ujrzał zbliżającego się z głębi dziedzińca pazia królewskiego w czerwieni, który przybiegłszy przed nim wołał:

– Wielka wiadomość, wielka wiadomość ze dworu!

– Jaka?, spytał Ksiądz Bosko.

– **Zwiastuję wielki pogrzeb na dworze!**

Ksiądz Bosko na tę wieść struchlał, a paż powtórzył kilkakrotnie: Wielki pogrzeb

na dworze! Święty chciał czegoś bliżej się dowiedzieć, lecz ów znikł. Ksiądz Bosko

przebudził się, jakby w obcym świecie a pojawiając tajemnicę chwycił za pióro i napisał z miejsca list do króla Wiktora Emanuela zawiadamiając o tym, co mu zostało obwieszczone i opisał naturalnie swój sen.

[...] Skądinąd wiadzano, że Ksiądz Bosko prowadzi jakąś korespondencję, snuto ciekawe domysły na temat treści owej korespondencji do króla, tym bardziej, iż znane było jego stanowisko odnośnie konfiskaty dóbr kościelnych. Święty wtajemniczył swe otoczenie w treść swego snu oraz że pisał do króla, by nie dopuścił do uchwalenia nieszczęsnej ustawy.

Szeptano między sobą, kto by z wysokich osobistości na dworze w owym czasie był chory, nikt jednak nie mógł zgadnąć. Tymczasem Ksiądz Bosko wezwał do siebie kleryka Anioła Savio, wręczył mu jakiś list mówiąc: Skopiuj to i daj znać królowi wiadomość: „Wielki pogrzeb na dworze!”. Kleryk sporządził kopię i posłał jak mu kazano lecz król jak doszła wiadomość do

Ksiądz Bosko nic sobie z tego pisma nie robił.

Minęło pięć dni od owego czasu i Święty miał drugi sen. Zdawało mu się, że siedział przy swoim biurku, gdy doszedł go odgłos kopyt końskich na dziedzińcu. W tej chwili drzwi się otwarły i zjawił się ten sam paż w czerwonej liberii, stanął w środku pokoju i zawołał: Wiadomość! Nie tylko jeden, lecz dwa wielkie pogrzeby na dworze! Powtórzył tę wiadomość dwakroć, obrócił się na pięcie i wyszedł. Ksiądz Bosko chciał go o coś spytać, wstał od biurka, pobiegł na balkon i dojrzał jeszcze pazia wsiadającego na konia. Zawołał go, by mu powtórzył wieść, lecz paż zniknął wołając: **Wielkie pogrzeby na dworze!** Z nadejściem świtu, Ksiądz Bosko skreślił nowy list do króla, w którym opowiedział nowy sen i kończył, aby: „Jego Królewska Mość raczył wziąć to pod uwagę i tak postąpić, by uniknąć nowych kar” oraz prosił, by na wszelki sposób przeszkodził owej ustawie. Wieczorem po kolacji, Ksiądz Bosko zawołał kleryków mówiąc: Chcielibyście usłyszeć rzecz dziwniejszą niż poprzednia? I opowiedział sen z ubiegłej nocy. Klerycy zdumieni pytali, co znaczyły te przepowiednie o śmierci i naturalnie z wielkim podnieceniem oczekiwali ich sprawdzenia się. Klerykowi Cagliero i kilku innym wyjawiał, że są to groźby i zapowiedzi kar bożych, jakie spadną na tego, kto wyrządził Kościołowi wiele szkód a jeszcze obmyśla nowe.

W owych dniach Święty był bardzo zboleały i powtarzał często: „Ta ustawa ściągnie na dom królewski wielkie nieszczęścia”. Równocześnie zachęcał swych synów do modlitwy za króla oraz by Bóg w dobroci swej przeszkodził rozproszeniu tylu zakonników i stratę tylu powołań. Król tymczasem wręczył owe listy markizowi Fassati. Ten przeczytawszy je udał się natychmiast do Księdza Bosko i upominał: Och! Uważa Ksiądz, że można w taki sposób wpływać na monarchę i cały dwór? Król jest wstrząśnięty tym i zaniepokojony! Nawet wpadł w gniew. Co Ksiądz sobie myśli? A jeśli to, co napisałem, jest prawdą? Przykro mi, że sprawiłem niepokój monarsze lecz ostatecznie, rozchodzi się o jego dobro własne i Kościoła!

Przestróg Księdza Bosko nie usłuchano. Dnia 28 listopada 1854 minister Urban Ratazzi przedłożył w parlamencie projekt ustawy

kasacyjnej. Hrabia Kamil Cavour minister finansów był za jej usankcjonowaniem za wszelką cenę. Panowie ci wychodzili z zasady, że poza ustawą cywilną nie może absolutnie istnieć jakieś inne niezależne od niej prawo, że państwo jest źródłem wszelkich praw i wobec tego żadna osoba prawna, nawet Kościół katolicki nie może istnieć samodzielnie bez zgody władzy cywilnej. Dlatego państwo w zasadzie nie przyznaje Kościołowi prawa posiadania własności a przydziela je samo poszczególnym stowarzyszeniom religijnym. Ono samo wyłącznie jest podmiotem praw. Ich więc egzystencja i wygaśnięcie są modyfikowane przez suwerenną władzę państwową. Państwo, zatem jako podmiot, do którego ściągają się wszelkie uprawnienia osób cywilnych (czy prawnych), staje się jedynym i wyłącznym właścicielem ich dóbr w chwili, gdy ulegają kasacie. Błąd to wielki, gdyż wspomniane dobra po wygaśnięciu jakiegoś zakonu nie stają się bezpańskie, a przechodzą ipso iure na Kościół katolicki reprezentowany przez osobę Papieża, czemu wyznawcy supremacji państwa usiłują zaprzeczać. (MB V, 176-180).

To, że były to ostrzeżenia z Nieba, potwierdza również list napisany cztery lata wcześniej, 9 kwietnia 1850 r., który matka króla, królowa matka Maria Teresa, wdowa po Karolu Albercie, skierowała do swojego syna, króla Wiktora Emanuela II Sabaudzkiego.

Bóg ci wynagrodzi, pobłogosławi cię, ale kto wie, ile kar, ile plag Bóg sprowadzi na ciebie, twoją rodzinę i kraj, jeśli usankcjonuje [ustawę Siccardiego o zniesieniu forum kościelnego]. Pomyśl, jaki byłby twój smutek, gdyby Pan sprawił, że poważnie zachorujesz lub nawet gdyby zabrał twoją drogą Adelę, którą ze świętym rozsądkiem tak bardzo kochasz, lub twoją Chichinę (Klotyldę) lub twojego Betto (Humberta); i gdybyś mógł zobaczyć w moim sercu, jak bardzo jestem zasmucona, udręczona, przerażona obawą, że usankcjonujesz tę ustawę z powodu wielu nieszczęść, które, jestem pewna, przyniesie nam, jeśli zostanie ustanowiona bez zgody Ojca Świętego, być może twoje serce, które jest naprawdę dobre i

wrażliwe, i które zawsze tak bardzo kochało swoją biedną Mamusię, zmiękłoby. (Antonio Monti, *Nuova Antologia*, 1 stycznia 1936, s. 65; MB XVII, 898).

Ale król nie zwrócił uwagi na te ostrzeżenia, a konsekwencje nie trwały długo. Negocjacje w sprawie zatwierdzenia były kontynuowane, a przepowiednie również się spełniły:

- 12 stycznia 1855 r. Maria Teresa, Królowa Matka, zmarła w wieku 53 lat;
- 20 stycznia 1855 r. w wieku 33 lat zmarła królowa Maria Adelajda;
- 11 lutego 1855 r. w wieku 32 lat zmarł książę Ferdynand, brat króla;
- 17 maja 1855 r. zmarł syn króla, książę Wiktor Emmanuel Leopold Maria Eugeniusz, w wieku zaledwie 4 miesięcy.

Ksiądz Bosko nadal ostrzegał, publikując statut fundacji opactwa Altacomba z wyjaśnieniem wszystkich klątw nałożonych na tych, którzy ośmielili się zniszczyć lub uzurpować sobie własność opactwa Altacomba, umieszczonego w tym dokumencie przez starożytnych książąt Sabaudii w celu ochrony tego miejsca, w którym spoczywają dziesiątki znakomitych przodków Domu Sabaudzkiego.

Kontynuował nadal ostrzeżenia, publikując w kwietniu 1855 r. na łamach Czytanek Katolickich broszurę napisaną przez barona Nilinse zatytułowaną: *Dobra Kościoła, jak są okradane i jakie są tego konsekwencje; z krótkim dodatkiem o wydarzeniach z Piemontu*. Na pierwszej stronie widniał napis: *Jak to! Żadnym prawem nie można naruszyć domu osoby prywatnej, a ty masz czelność położyć rękę na domu Pana! Św. Ambroży*. W tekście tym wykazano, że nie tylko grabieżcy Kościoła i zakonów, ale nawet ich rodziny były prawie zawsze dotknięte, spełniając w ten sposób straszne powiedzenie: **Rodzina tego, kto okrada Boga, nie osiąga czwartego pokolenia!** (MB V, 233-234).

29 maja Wiktor Emmanuel II podpisał ustawę

Rattazziego, która skonfiskowała majątek kościelny i zlikwidowała korporacje religijne, nie biorąc pod uwagę tego, co przepowiedział ksiądz Bosko i żałoby, która dotknęła jego rodzinę od stycznia... nie wiedząc, że podpisuje także los rodziny królewskiej.

W rzeczywistości i tutaj proroctwo się spełniło, jak widzimy.

– Król [Wiktor Emmanuel II Sabaudzki](#) (ur. 14.03.1820 – † 09.01.1878), panował od 17.03.1861 do 09.01.1878, zmarł w wieku 58 lat;

– Król [Humbert I](#) (ur. 14.03.1844 – † 29.07.1900), syn króla Vittorio Emanuele II Sabaudzkiego, panował od 10.01.1878 – do 29.07.1900, zginął w Monzie w wieku 56 lat.

– Król [Wiktor Emanuel III](#) (ur. 11.11.1869 r. – † 28.12.1947 r.), wnuk króla Sabaudii Wiktora Emanuela II, panował od 30.07.1900 r. do 09.05.1946 r., został zmuszony do abdykacji 9 maja 1946 r. i zmarł rok później.

– Król [Humbert II](#) (ur. 15.09.1904 – † 18.03.1983) ostatni król Włoch, panował od 10.05.1946 do 18.06.1946, prawnuk Wiktora Emanuela II (czwarte pokolenie), został zmuszony do abdykacji po zaledwie 35 dniach panowania, w wyniku referendum instytucjonalnego z 2 czerwca tego samego roku. Zmarł 18 marca 1983 r. w Genewie i został pochowany w opactwie Altacomba...

Niektórzy interpretują te wydarzenia jako zwykłe zbiegi okoliczności, ponieważ nie mogą zaprzeczyć faktom, ale ci, którzy znają Boże działanie, wiedzą, że w swoim miłosierdziu zawsze ostrzega w taki czy inny sposób przed poważnymi konsekwencjami, jakie mogą mieć pewne decyzje o wielkim znaczeniu, wpływające na losy świata i Kościoła.

Przypomnijmy sobie tylko koniec życia najmądrzejszego człowieka na ziemi, króla Salomona:

Kiedy Salomon zestarzał się, żony zwróciły jego serce ku bogom obcym i wskutek tego serce jego nie pozostało tak szczere wobec Pana, Boga jego, jak serce jego ojca, Dawida. Zaczął bowiem czcić Asztartę, boginię Sydończyków, oraz Milkoma,

ohydę Ammonitów. Salomon dopuścił się więc tego, co jest złe w oczach Pana, i nie okazał pełnego posłuszeństwa Panu, jak Dawid, jego ojciec. Salomon zbudował również posąg Kemoszowi, bożkowi moabskiemu, na górze na wschód od Jerozolimy, oraz Milkomowi, ohydzie Ammonitów. Tak samo uczynił wszystkim swoim żonom obcej narodowości, palącym kadzidła i składającym ofiary swoim bogom.

Pan rozgniewał się więc na Salomona za to, że jego serce odwróciło się od Pana, Boga izraelskiego. **Dwukrotnie mu się ukazał i zabraniał mu czcić obcych bogów, ale on nie zachował tego, co Pan mu nakazał.** Wtedy Pan rzekł Salomonowi: «Wobec tego, że tak postąpiłeś i nie zachowałeś mego przymierza oraz moich praw, które ci dałem, nieodwołalnie wyrwę ci królestwo i dam twojemu słudze». (1 Krl 11, 4-11).

Wystarczy uważnie przeczytać historię, zarówno świętą, jak i bluźnierczą...

Sen z 9-tego roku życia. Geneza powołania

Sen dziewięciolatka przedstawiony w dziesięciu punktach, geneza niebiańskiego powołania, potwierdzony jest przez owoce, które wydało, zaprezentowane podczas 42. Dni Duchowości Salezjańskiej na Valdocco w Turynie.

Dwieście lat temu dziewięcioletni chłopiec, ubogi i bez przyszłości innej niż bycie rolnikiem, miał sen. Opowiedział go rano swojej matce, babci i rodzeństwu, którzy go wyśmiali. Babcia podsumowała: „Nie zwracaj uwagi na sny”. Wiele lat później ów chłopiec, Jan Bosko, napisał: „Byłem zdania mojej babci, ale nigdy nie mogłem wyrzucić tego snu z głowy”.

Ponieważ nie był to tylko kolejny sen i nie umarł o świcie.

Po pierwsze: jest to rozkaz

Ksiądz Lemoyne, pierwszy historyk Księdza Bosko, podsumowuje sen w następujący sposób: „Wydawało mu się, że widział Boskiego Zbawiciela ubranego na biało, opromienionego najwspanialszym światłem, w akcie prowadzenia niezliczonego tłumu młodych mężczyzn. Odwróciwszy się do niego, powiedział: „Podejdź tutaj: postaw się na czele tych młodzieńców i sam ich poprowadź”. – Ale ja nie jestem do tego zdolny – odpowiedział Jan. Boski Zbawiciel nalegał tak długo, aż Jan stanął na czele tłumu chłopców i zaczął ich prowadzić zgodnie z wydanym mu poleceniem. Jak Jezusowe „Pójdź za mną”.

Po drugie: jest to sekret radości

Ten sen przychodził raz po raz z przenikającym ładunkiem energii. Było źródłem radosnego bezpieczeństwa i niewyczerpanej siły dla Jana Bosko. Źródłem jego życia.

Podczas procesu diecezjalnego w sprawie beatyfikacji księdza Bosko, ksiądz Rua, jego pierwszy następca, zeznał: „Zostałem poinformowany przez Łucję Turco, członka rodziny, w której ks. Bosko często przebywał ze swoimi braćmi, że pewnego ranka zobaczyli go przybywającego bardziej radosnego niż zwykle. Zapytany o przyczynę, odpowiedział, że w nocy miał sen, który go rozweselił”.

Po trzecie: odpowiedź

Pytanie dla każdego brzmi: „Czy chcesz zwykłego życia, czy chcesz zmienić świat?”.

Viktor Frankl podkreśla różnicę między „*sensem życia*” a „*sensem w życiu*„. Sens życia wiąże się z pytaniami takimi jak: *Dlaczego tu jestem? Jakie jest znaczenie tego wszystkiego? Jaki jest sens życia?* Wiele osób szuka odpowiedzi w religii lub w szlachetnej misji dla większego dobra, takiej jak walka z ubóstwem lub powstrzymanie globalnego ocieplenia. Często trudno jest znaleźć sens życia; walka o zrozumienie tej koncepcji może być wyczerpująca, szczególnie w trudnych czasach, kiedy walczymy nawet o przetrwanie dnia. Z drugiej

strony o wiele łatwiej jest znaleźć sens w życiu: w zwykłych rzeczach, które robimy z przyzwyczajenia, w chwili obecnej, w codziennych czynnościach w domu lub w pracy. To właśnie jest sens życia jest preferowanym sposobem doświadczania duchowego dobrobytu.

Po czwarte: znak z Wysoka

W seminarium ksiądz Bosko napisał stronę godnej podziwu pokory jako motywacji swojego powołania: „Sen z Morialdo zawsze robił na mnie wrażenie; w rzeczywistości odnawiał się on znacznie wyraźniej przy innych okazjach” Możemy być pewni: Jan rozpoznał Pana i Jego Matkę. Pomimo swojej skromności, nie wątpił, że został odwiedzony przez Niebo. Nie wątpił też, że te wizyty miały na celu objawienie mu jego przyszłości i przyszłości jego dzieła. Sam to powiedział: „Zgromadzenie Salezjańskie nie uczyniło żadnego kroku, jeśli nie zostało do tego zachęcone przez fakt nadprzyrodzony. Nie osiągnęło punktu rozwoju, w którym się znajduje, bez specjalnego polecenia od Pana”.

Po piąte: nieustanna pomoc

„Potem usłyszałem od innych, że zapytał: – Jak będę dbał o tak wiele owiec? I tyle jagniąt? Gdzie znajdę pastwiska, aby je utrzymać? Pani odpowiedziała mu: – Nie bój się, pomogę ci, a potem zniknęła.

Po szóste: Nauczycielka

Matka.

Po siódme: misja

„Tutaj jest twoje pole, tutaj musisz pracować”, kontynuowała Pani. „Stań się pokorny, silny, wytrzymały: a to, co widzisz, co dzieje się z tymi zwierzętami w tej chwili, musisz zrobić dla moich dzieci”.

Po ósme: metoda

„Nie biciem, ale łagodnością i miłosierdziem musisz zdobyć tych swoich przyjaciół”.

Po dziewiąte: odbiorcy

„Kiedy spojrzałem, zobaczyłem, że wszystkie dzieci uciekły, a zamiast nich zobaczyłem mnóstwo dzieci, psów, kotów, niedźwiedzi i kilku innych zwierząt”.

Po dziesiąte: Dzieło

„Zmęczony, chciałem usiąść przy pobliskiej drodze, ale pasterka zaprosiła mnie do kontynuowania drogi. Po krótkiej drodze znalazłem się na rozległym dziedzińcu z otaczającym go portykiem, na końcu którego znajdował się kościół. Wtedy zdałem sobie sprawę, że cztery piąte tych zwierząt stało się jagniętami. Ich liczba stała się bardzo duża. W tym momencie przybyło kilku pasterzy, aby ich pilnować. Zatrzymali się jednak i wkrótce odeszli. Wtedy wydarzył się cud. Wiele jagniąt zamieniło się w pasterzy, a gdy urosły, zaopiekowały się pozostałymi. Chciałem odejść, ale pasterka zaprosiła mnie, abym spojrzał w południe. „Spójrz jeszcze raz” – powiedziała, a ja spojrzałem jeszcze raz. Wtedy zobaczyłem piękny, wysoki kościół. Wewnątrz tego kościoła była biała wstęga, na której dużymi literami było napisane: *Hic domus mea, inde gloria mea*. Dlatego, kiedy wchodzimy do Bazyliki Maryi Wspomożycielki, wchodzimy do snu Księdza Bosko.

Testament Księdza Bosko

Sam papież poprosił księdza Bosko o spisanie snu dla swoich dzieci. Zaczął tak: „Do czego więc będzie służyło to dzieło? Posłuży jako reguła do przezwyciężenia przyszłych trudności, biorąc lekcję z przeszłości; posłuży do poznania, w jaki sposób sam Bóg kierował wszystkim przez cały czas; posłuży moim synom jako przyjemna rozrywka, gdy będą mogli czytać rzeczy, w których uczestniczył ich ojciec, i będą je czytać o wiele chętniej, gdy wezwany przez Boga do złożenia sprawozdania z moich czynów, nie będę już wśród nich „.

Dlatego też Konstytucje Salezjańskie rozpoczynają się „aktem wiary”: „Z poczuciem pokornej wdzięczności wierzymy, że Towarzystwo św. Franciszka Salezego zrodziło się nie z ludzkiego projektu, ale z inicjatywy Boga”.

Sen z dziewiątego roku życia. Lektura teologiczna

Tematy duchowe

Komentarz do tematów teologiczno-duchowych obecnych w śnie z 9-tego roku życia mógłby mieć tak szeroki zasięg, że obejmowałby w sposób całościowy „salezjaństwo” (salesianità). Czytając go, poczynając od historii jego skutków, sen otwiera niezliczone możliwości pogłębienia pedagogicznych i apostoelskich cech, które charakteryzowały życie św. Jana Bosko i całe charyzmatyczne doświadczenie, które pochodzi od niego. Charakter naszej analizy i jej miejsce w szerszym projekcie badawczym narzucają jednak ograniczenie się do kilku elementów, koncentrując się na głównych tematach i sugerując linie, wzdłuż których możemy pogłębić naszą refleksję. Dlatego też postanowiliśmy skupić naszą uwagę na pięciu ścieżkach duchowej refleksji, które dotyczą odpowiednio (1) misji oratoryjnej, (2) wezwania do niemożliwego, (3) tajemnicy Imienia, (4) macierzyńskiego pośrednictwa i wreszcie (5) mocy łagodności.

Misja oratoryjna

Sen z 9-tego roku życia jest pełen chłopców. Są oni obecni od pierwszej do ostatniej sceny i są odbiorcami wszystkiego, co się dzieje. Ich obecność jest nacechowana radością i zabawą, które są typowe dla ich wieku, ale także nieporządkiem i negatywnym zachowaniem. Dzieci nie są więc we śnie dziewięciolatka romantycznym obrazem magicznego wieku, nietkniętego przez zło świata ani nie odpowiadają postmodernistycznemu mitowi o kondycji młodości jako okresie spontanicznego działania i wiecznej gotowości do zmian, którą

należy zachować w wiecznym dorastaniu. Chłopcy ze snu są niezwykle „prawdziwi”, zarówno wtedy, gdy pojawiają się ze swoją fizjonomią, jak i wtedy, gdy są symbolicznie przedstawieni w postaci zwierząt. Bawią się i kłócą, śmieją się i niszczą, przeklinając, tak jak robią to w rzeczywistości. Nie wydają się ani niewinni, jak wyobraża je sobie spontaniczna pedagogika, ani zdolni do samodzielnego uczenia się, jak myślał o nich Rousseau. Od momentu pojawienia się na „bardzo rozległym podwórku”, który zapowiada duże dziedzińce przyszłych salezjańskich oratoriów, *przywołują one obecność i działanie kogoś*. Impulsywny gest śniącego Jana nie jest jednak właściwym zachowaniem; konieczna jest obecność kogoś Innego.

Z wizją dzieci przeplata się pojawienie się figury chrystologicznej, jak możemy ją teraz otwarcie nazwać. Ten, który powiedział w Ewangelii: „Pozwólcie dzieciom przychodzić do Mnie” (Mk 10,14), przychodzi, aby wskazać śniącemu postawę, z jaką należy podchodzić do dzieci i towarzyszyć im. Wydaje się majestatyczny, męski, silny, z cechami, które wyraźnie podkreślają jego boski i transcendentny charakter; jego sposób działania jest naznaczony pewnością siebie i mocą oraz manifestuje pełne panowanie nad rzeczami, które się dzieją. Dostojny mężczyzna nie wzbudza jednak strachu, ale raczej przynosi pokój tam, gdzie wcześniej panował zamęt i zamieszanie; przejawia życzliwe zrozumienie dla Jana i kieruje go na ścieżkę łagodności i miłości.

Wzajemność między tymi postaciami – chłopcami z jednej strony i Panem (do którego później dołącza Matka) z drugiej – określa kontury snu. Emocje, które Jan odczuwa we śnie, pytania, które zadaje, zadanie, które ma wykonać, przyszłość, która otwiera się przed nim, są całkowicie związane z dialektyką między tymi dwoma biegunami. Być może najważniejszym przesłaniem, jakie przekazuje mu sen, tym, które prawdopodobnie zrozumiał jako pierwsze, ponieważ utkwiło w jego wyobraźni, nawet zanim zrozumiał je w sposób refleksyjny, jest to, że te postacie

odnoszą się do siebie nawzajem i że *nie będzie już w stanie ich oddzielić przez resztę swojego życia*. Spotkanie między bezbronnością młodych a mocą Boga, między ich potrzebą zbawienia a Jego ofertą łaski, między ich pragnieniem radości a Jego darem życia musi teraz stać się centrum jego myśli, przestrzenią jego tożsamości. Partytura jego życia będzie w całości napisana w tonacji, którą nadaje mu ten pierwotny temat: modulowanie go w całym jego potencjale harmonicznym będzie jego misją, w którą musi wnieść wszystkie swoje dary natury i łaski.

Dynamizm życia Jana pojawia się zatem we śnie-wizji jako ciągły ruch, rodzaj duchowego przychodzenia i odchodzenia między chłopcami a Panem. Z grupy chłopców, na których rzucił się z impetem, Jan musi pozwolić się przyciągnąć Panu, który wzywa go po imieniu, a następnie odejść od Tego, który go posyła, i iść, aby prowadzić swoich kolegów w zupełnie inny sposób. Nawet jeśli we śnie otrzymuje tak silne ciosy od chłopców, że po przebudzeniu nadal odczuwa ich ból, a od dostojnego mężczyzny słyszy słowa, które pozostawiają go bez słowa, jego przychodzenie i odchodzenie nie jest nieprzekonującym zgiełkiem, ale drogą, która stopniowo go przemienia i przynosi młodym ludziom energię życia i miłości.

To, że wszystko to dzieje się na *podwórku*, jest bardzo znaczące i ma wyraźną wartość proleptyczną, ponieważ w misji księdza Bosko podwórko oratoryjne stanie się uprzywilejowanym miejscem i wzorcowym symbolem. Cała scena rozgrywa się w tym środowisku, zarówno rozległym (bardzo rozległe podwórko), jak i rodzinnym (blisko domu). Fakt, że wizja powołaniowa nie ma za tło świętego miejsca lub niebiańskiej przestrzeni, ale środowisko, w którym chłopcy żyją i bawią się, wyraźnie wskazuje, że *Boża inicjatywa zakłada ich świat jako miejsce spotkania*. Misja powierzona Janowi, nawet jeśli jest wyraźnie ukierunkowana w sensie katechetycznym i religijnym (aby „pouczać ich o brzydocie grzechu i o szlachetności cnoty”), ma za środowisko wszechświat edukacji. Powiązanie postaci

chrystologicznej z przestrzenią podwórka i dynamiką zabawy, której dziewięcioletni chłopiec z pewnością nie mógł „skonstruować”, stanowi przekroczenie najbardziej typowych wyobrażeń religijnych, których inspirująca siła jest równa ich tajemniczej głębi. W rzeczywistości syntetyzuje w sobie całą dynamikę tajemnicy wcielenia, w której Syn przyjmuje naszą postać, aby ofiarować nam swoją, i podkreśla, że nie ma nic ludzkiego, co musiałoby zostać poświęcone, aby zrobić miejsce dla Boga.

Podwórko mówi zatem o *bliskości łaski Bożej w stosunku do „wrażliwości” młodzieży*: aby ją przyjąć, nie trzeba wychodzić poza swój wiek, zaniedbywać jego potrzeb, wymuszać jego rytmów. Kiedy ksiądz Bosko, już dorosły, pisał w *Młodzieńcu zaopatrzonym*, że jedną z diabelskich sztuczek jest sprawienie, by młodzi myśleli, że świętość jest nie do pogodzenia z ich pragnieniem bycia radosnym i z żywiołową świeżością ich witalności, to daje on w dojrzałej formie lekcję, którą doświadczył we śnie i która następnie stała się centralnym elementem jego duchowego magisterium. Jednocześnie *podwórko mówi o potrzebie zrozumienia edukacji poczynawszy od jej najgłębszego rdzenia*, który dotyczy postawy serca wobec Boga. Tam, jak uczy sen, znajduje się nie tylko przestrzeń pierwotnej otwartości na łaskę, ale także otchłań oporu, w której czai się brzydota zła i przemoc grzechu. To dlatego horyzont edukacyjny snu jest szczerze religijny, a nie tylko filantropijny, i ukazuje symbolikę nawrócenia, a nie tylko samorozwoju.

Na podwórku ze snu, wypełnionym dziećmi i zamieszkałym przez Boga, objawia się Janowi przyszła dynamika pedagogiczna i duchowa podwórek oratoryjnych. Chcielibyśmy jeszcze podkreślić dwie cechy, wyraźnie przywołane w działaniach wykonywanych we śnie najpierw przez dzieci, a następnie przez ciche baranki.

Pierwszą cechę można znaleźć w fakcie, że „młodzieńcy przestali się bić, wrzeszczeć i bluźnić i wszyscy skupili się wokół Tego, który mówił”. Ten temat „*gromadzenia się razem*”

jest jedną z najważniejszych matryc teologicznych i pedagogicznych wizji wychowawczej księdza Bosko. Słynny tekst napisany w 1854 r., *Wprowadzenie do Planu Regulaminu Oratorium męskiego św. Franciszka Salezego w Turynie, w regionie Valdocco*^[1], przedstawia eklezjalny charakter i teologiczny sens instytucji oratoryjnej, cytując słowa ewangelisty Jana: „*Ut filios Dei, qui erant dispersi, congregaret in unum*” (J 11, 52). Działalność Oratorium jest zatem umieszczona pod znakiem eschatologicznego zgromadzenia synów Bożych, które stanowiło centrum misji Syna Bożego:

Słowa świętej Ewangelii, które mówią nam, że Boski Zbawiciel przyszedł z nieba na ziemię, aby zgromadzić wszystkie dzieci Boże, rozproszone po różnych częściach ziemi, wydają mi się, że można je dosłownie odnieść do młodzieży naszych czasów.

Młodzież, „ta najbardziej delikatna i najcenniejsza część ludzkiego społeczeństwa”, często znajduje się w rozproszeniu i rozgrupowaniu z powodu braku zainteresowania edukacyjnego rodziców lub wpływu złych towarzyszy. Pierwszą rzeczą, jaką należy zrobić, aby zapewnić edukację tym młodym ludziom, jest właśnie „zebranie ich, pozwolenie im mówić, umoralnianie ich”. W tych słowach z *Wprowadzenia do Planu Regulaminu* echo snu, dojrzewającego w świadomości dorosłego już wychowawcy, jest już wyraźnie i rozpoznawalne. Oratorium jest przedstawiane jako radosne „zgromadzenie” młodych ludzi wokół jedynej uspokajającej siły zdolnej ich zbawić i przemienić, czyli Boga: „Te oratoria są pewnymi zgromadzeniami, w których młodzież przebywa na przyjemnej i uczciwej rekreacji, po uczestnictwie w świętych nabożeństwach kościelnych”. Już od dziecka ksiądz Bosko rozumiał, że „taka jest misja dziecka Bożego; to może zrobić tylko jego święta religia”.

Drugim elementem, który stanie się cechą rozpoznawczą duchowości oratoryjnej, jest to, co we śnie objawia się poprzez obraz baranków biegnących „na ucztę tego mężczyzny i tej pani”. *Pedagogika święta* będzie fundamentalnym wymiarem

systemu prewencyjnego księdza Bosko, który w licznych świętach religijnych roku będzie widział okazję do zaoferowania chłopcom szansy na głębokie oddychanie radością wiary. Ksiądz Bosko wiedziałby, jak entuzjastycznie zaangażować wspólnotę młodzieżową Oratorium w przygotowanie wydarzeń, przedstawień, przyjęć, które zapewniłyby odwrócenie uwagi od trudu codziennych obowiązków, aby wzmocnić talenty chłopców w zakresie muzyki, aktorstwa, gimnastyki, aby skierować ich wyobraźnię w kierunku pozytywnej kreatywności. Jeśli weźmie się pod uwagę, że edukacja proponowana w dziewiętnastowiecznych kręgach religijnych miała zwykle raczej surowy ton, który wydawał się przedstawiać ideał pedagogiczny, który należy osiągnąć, jako pobożne opanowanie, to zdrowe świąteczne wesołe oratorium wyróżnia się jako wyraz humanizmu otwartego na zrozumienie psychologicznych potrzeb dziecka i zdolnego do promowania jego protagonizmu. Świąteczna radość, która następuje po metamorfozie zwierząt ze snu, jest zatem tym, do czego musi dążyć pedagogika salezjańska.

W rzeczywistości świętowanie oferuje człowiekowi szansę na uwolnienie się od ograniczeń codziennego życia, na porzucenie ról, które zamykają relacje w klatce i na wydobywanie na światło dzienne tego, co istotne, w czym można naprawdę znaleźć radość życia i pozwolić nam rozpoznać się razem jako wspólnota. U podstaw świątecznego zachowania leży jednak nieuniknione pytanie, które dotyczy jego fundamentów. We wszystkich kulturach świąteczne zachowanie zakłada autoryzację, której uczestnicy uroczystości nie mogą sobie sami udzielić. Świętowanie nie może być po prostu wynikiem autonomicznej decyzji; nie można świętować bez prawdziwego powodu, aby to zrobić, a powód ten musi wynikać z doświadczenia, które naprawdę poszerza przestrzeń serca i wprowadza wolność. W przeciwnym razie wolność, która jest inscenizowana podczas świętowania, jest tylko pustą zewnętrzną powłoką, pokrywającą sfrustrowane aspiracje; ostatecznie jest to iluzja, która może tylko rozczarować. Zamiast wolności doświadcza się transgresji, zamiast wspólnoty produkuje się stado, zamiast

radości jest tylko zgiełk, który ją imituje, ale jej nie daje.

Uczta oratoryjna umieszcza swoje centrum tam, gdzie znalazły je baranki ze snu, metamorfoza beczącego stada. Centrum, źródłem i celem święta młodzieży jest obecność Jezusa i Jego Matki. Ksiądz Bosko wie, że autentyczna radość pochodzi z pokoju sumienia, które żyje w przyjaźni z Panem. Dlatego przygotowuje święta z nowennami, które przygotowują serce do życia łaską i z sakramentem spowiedzi, proponowanym jako prawdziwe doświadczenie wewnętrznego uzdrowienia. Święto jest zatem kulminacyjnym momentem prawdziwej podróży duchowej przemiany, której łaska Boża jest głęboką siłą napędową, a jednocześnie wskazuje na dalsze spełnienie, które nastąpi w radości nieba, kiedy przemienienie człowieka zostanie w pełni dokonane. Pismo Święte uczy, że całe stworzenie jest od początku ukierunkowane na szabat, Boży dzień odpoczynku, który nie jest pustym czasem, ale przestrzenią bezinteresowności spotkania i celebracji przyjaźni. Człowiek spontanicznie nosi w sobie pragnienie wejścia w Boży dzień, dążenia do pełni życia, które nie zna już ciężaru egzystencji i zmęczenia codziennością. To napięcie jest szczególnie żywe w wieku młodzieńczym, który bardziej intensywnie poszukuje zabawy i radości, prawie jakby szukał tam oczekiwania na większe szczęście. Ksiądz Bosko był w stanie uchwycić w tym napięciu podstawę i przestrzeń wychowawczą dla duchowego doświadczenia prawdziwego świętowania, możliwego dzięki darowi łaski.

Związek między *rekreacją na podwórku* a *świętowaniem podczas liturgii* jest z pewnością jedną z dojrzałych implikacji tych intuicji, które niósł sen. We fragmencie *Wspomnień Oratorium*, opisującym żywotność typowego dnia pośród chłopców, ksiądz Bosko potwierdza: „Rekreacja służyła mi do podsunięcia moim wychowankom jakichś religijnych myśli czy zachęcania do przystępowania do sakramentów świętych”^[2]. W słynnym Liście z Rzymu z 1884 r., który stanowi jeden z najcenniejszych wyrazów jego duchowej mądrości, zauważa, z drugiej strony, bardzo ścisły związek między „apatią” rekreacji a „chłodem” w

podejściu do sakramentów. W misji oratoryjnej, powierzonej mu we śnie, podwórko i kościół, zabawa i liturgia, zdrowa rekreacja i życie łaski muszą być ściśle zjednoczone, jako dwa nierozłączne elementy jednej pedagogiki.

Wezwanie do niemożliwego

Podczas gdy dla chłopców sen kończy się świętowaniem, dla Jana kończy się on konsternacją, a nawet łzami. Jest to skutek, który nie powinien nas zaskakiwać. Zwykło się uważać, z pewnym uproszczeniem, że wizyty Boga niosą wyłącznie radość i pocieszenie. Dlatego paradoksalne jest, że dla apostoła radości, dla tego, który jako seminarzysta założy „Towarzystwo wesołości” i który jako kapłan nauczy swoich chłopców, że świętość polega na „byciu bardzo radosnym”, scena powołania kończy się płaczem.

Może to z pewnością wskazywać, że radość, o której mowa, nie jest czystym wypoczynkiem i prostą bez troską, ale wewnętrznym rezonansem z pięknem łaski. Jako taka, może być osiągnięta jedynie poprzez wymagające duchowe bitwy, których cenę ksiądz Bosko będzie musiał w dużej mierze zapłacić dla dobra swoich chłopców. W ten sposób przeżyje on na nowo tę zamianę ról, zakorzenioną w tajemnicy paschalnej Jezusa i przedłużoną w kondycji apostołów: „my głupi dla Chrystusa, wy mądrzy w Chrystusie, my niemocni, wy mocni; wy doznajecie szacunku, a my wzgardy” (1 Kor 4,10), ale tak samo „współpracownicy w waszej radości” (2 Kor 1,24).

Niepokój, z jakim kończy się sen, przypomina jednak przede wszystkim zawrót głowy, jaki odczuwają wielkie biblijne postacie w obliczu boskiego powołania, które objawia się w ich życiu, kierując je w całkowicie nieprzewidywalnym i niepokojącym kierunku. Ewangelia Łukasza mówi, że nawet Maryja, na słowa anioła, poczuła głęboki wewnętrzny niepokój („zmieszała się na te słowa” Łk 1,29). Izajasz czuł się zagubiony przed manifestacją Bożej świętości w świątyni (Iz 6), Amos porównał do ryku lwa (Am 3,8) moc Bożego Słowa, przez

które został pochwycony, podczas gdy Paweł doświadczył na drodze do Damaszku egzystencjalnego wstrząsu, który pochodził ze spotkania ze Zmartwychwstałym. Choć są świadkami fascynującego spotkania z Bogiem, które uwodzi na zawsze, w momencie wezwania biblijni mężczyźni wydają się bardziej wahać ze strachem w obliczu czegoś, co ich przerasta, niż rzucać się na oślep w przygodę misji.

Podobnym doświadczeniem wydaje się być niepokój, którego Jan doświadcza we śnie. Wynika ono z paradoksalnego charakteru powierzanej mu misji, którą bez wahania określa jako „niemożliwą” („Kim jesteś Panie, że nakazujesz mi rzeczy niemożliwe?”). Przymiotnik ten może wydawać się „przesadzony”, ponieważ reakcje dzieci czasami są właśnie takie, zwłaszcza gdy wyrażają poczucie nieadekwatności w obliczu trudnego zadania. Ten element dziecięcej psychologii nie jest jednak wystarczający, by rozjaśnić treść dialogu ze snu i głębię duchowego doświadczenia, które przekazuje. Tym bardziej, że Jan ma prawdziwą cechę przywódczą i doskonałą pamięć, co pozwoli mu w miesiącach następujących po śnie natychmiast rozpocząć oratorium, zabawiając swoich przyjaciół grami akrobatycznymi i powtarzając im słowo w słowo kazanie proboszcza. Z tego powodu w słowach, w których bez ogródek oświadcza, że jest „niezdolny do mówienia o religii” swoim towarzyszom, dobrze jest usłyszeć odległe echo sprzeciwu Jeremiasza wobec boskiego powołania: „Przecież nie umiem mówić, bo jestem młodzieńcem” (Jr 1,6).

To nie na poziomie naturalnych predyspozycji rozgrywa się postulat niemożliwego, ale raczej na poziomie tego, co można włączyć w horyzont realności, tego, czego można oczekiwać na podstawie własnego obrazu świata, tego, co mieści się w granicach doświadczenia. Poza tą granicą otwiera się obszar niemożliwego, który jednak z biblijnego punktu widzenia jest przestrzenią Bożego działania. „Niemożliwe” jest, by Abraham miał syna z bezpłodnej, starej kobiety, takiej jak Sara; „niemożliwe” jest, by Dziewica poczęła i dała światu Syna

Bożego, który stał się człowiekiem; „niemożliwe” wydaje się uczniom zbawienie, skoro łatwiej jest wielbłądowi przejść przez ucho igielne niż bogatemu wejść do królestwa niebieskiego. A jednak Abraham odpowiada: „Czyż dla Pana jest coś niemożliwego?” (Rdz 18,14); anioł mówi Maryi, że „dla Boga nie ma nic niemożliwego” (Łk 1,37); a Jezus odpowiada niewierzącym uczniom, że „co niemożliwe jest dla ludzi, możliwe jest u Boga” (Łk 18,27).

Najważniejszym miejscem, w którym pojawia się teologiczne pytanie o to, co niemożliwe, jest decydujący moment historii zbawienia, a mianowicie dramat paschalny, w którym granicą niemożliwego do pokonania jest ciemna otchłań zła i śmierci. Jak bowiem można pokonać śmierć? Czyż nie jest ona sama w sobie imperatywnym symbolem niemożności, nieprzekraczalną granicą każdej ludzkiej możliwości, potęgą, która dominuje nad światem, wyznaczając jego szach mat? I czy śmierć Jezusa nie pieczętuje tej granicy nieodwołalnie? „Z tą śmiercią, bardziej niż z jakąkolwiek inną, śmierć triumfuje jako koniec wszelkiej możliwości, ponieważ wraz ze śmiercią Świętego zabija możliwość wszystkiego i wszystkich”^[3]. Jednak w samym łonie tej najwyższej niemożliwości Bóg wzbudził absolutną nowość. Wskrzeszając Syna, który stał się człowiekiem w mocy Ducha, radykalnie obalił to, co nazywamy światem możliwości, przełamując granicę, w której zamykamy nasze oczekiwania wobec rzeczywistości. Ponieważ nawet niemoc krzyża nie może powstrzymać daru Syna, niemożność śmierci zostaje przewyżczona przez bezprecedensowe zmartwychwstałe życie, które daje początek ostatecznemu stworzeniu i czyni wszystko nowym. Odtąd „raz na zawsze” to nie życie podlega śmierci, ale śmierć życiu.

To w przestrzeni stworzonej przez zmartwychwstanie niemożliwe staje się realne, to w niej dostojny mężczyzna ze snu, jaśniejący paschalnym światłem, prosi Jana, aby uczynił niemożliwe możliwym. Czyni to za pomocą zaskakującej formuły: „Właśnie dlatego, że to wydają ci się niemożliwe, musisz

uczynić je możliwymi przez posłuszeństwo „. Brzmi to jak słowa, którymi rodzice zachęcają dzieci, gdy są niechętnie, do zrobienia czegoś, czego nie czują się w stanie lub nie chcą zrobić. „Bądź posłuszny, a zobaczysz, że ci się uda”, mówią wtedy mama lub tata: psychologia dziecięcego świata jest doskonale respektowana. Ale są to także, i to o wiele więcej, słowa, którymi *Syn objawia tajemnicę niemożliwego, tajemnicę, która jest ukryta w Jego posłuszeństwie*. Dostojny mężczyzna, który nakazuje rzecz niemożliwą, dzięki swojemu ludzkiemu doświadczeniu wie, że niemożliwość jest miejscem, w którym Ojciec działa ze swoim Duchem, pod warunkiem, że otworzy się Mu drzwi swoim posłuszeństwem.

Jan oczywiście pozostaje zaniepokojony i oszołomiony, ale jest to postawa, jakiej doświadcza człowiek w obliczu tej „niemożliwości” paschalnej, w obliczu cudu cudów, którego znakiem jest każde inne zbawcze wydarzenie. Po wnikliwej analizie fenomenologii niemożliwego, J.L. Marion stwierdza: „W poranek wielkanocny tylko Chrystus może jeszcze powiedzieć *Ja*: tak że przed Nim każde transcendentalne *ja* musi rozpoznać siebie jako [...] zakwestionowane *ja*, ponieważ jest zdeorientowane”^[4]. Wielkanoc sprawia, że to, co najbardziej realne w historii, staje się czymś, co niewierzące *ja* uznaje *a priori* za niemożliwe. Niemożliwość Boga, aby mogła zostać uznana w swojej realności, wymaga zmiany horyzontu, którą nazywamy *wiarą*.

Nic więc dziwnego, że we śnie dialektyka możliwego-niemożliwego przeplata się z inną dialektyką, dialektyką jasności i ciemności. Charakteryzuje ona przede wszystkim sam obraz Pana, którego twarz jest tak jasna, że Jan nie może na nią patrzeć. Na tej twarzy świeci w rzeczywistości boskie światło, które paradoksalnie wytwarza ciemność. Następnie są słowa mężczyzny i kobiety, które choć jasno wyjaśniają, co Jan musi zrobić, to jednak pozostawiają go zdeorientowanego i przestraszonego. Na koniec pojawia się symboliczny obraz, poprzez metamorfozę zwierząt, który jednak prowadzi do jeszcze

większego niezrozumienia. Jan może tylko prosić o dalsze wyjaśnienia: „Błagałem, aby mówiła, abym mógł zrozumieć, bo nie wiedziałem, o co chodzi”, ale odpowiedź, którą otrzymuje od kobiety o majestatycznym wyglądzie, jeszcze bardziej opóźnia moment zrozumienia: „W swoim czasie wszystko zrozumiesz”.

Oznacza to z całą pewnością, że tylko poprzez realizację tego, co jest już uchwytnie we śnie, tj. poprzez możliwe posłuszeństwo, przestrzeń do wyjaśnienia jego przesłania zostanie szerzej otwarta. W rzeczywistości nie polega ono po prostu na idei, którą należy wyjaśnić, ale na słowie sprawczym, skutecznej lokalizacji, która właśnie poprzez urzeczywistnienie swojej operacyjnej mocy manifestuje swoje najgłębsze znaczenie.

Ta dialektyka światła i ciemności oraz odpowiadająca jej praktyczna forma dostępu do prawdy są elementami charakteryzującymi teologiczną strukturę aktu wiary. Wierzyć w istocie oznacza kroczyć w świetlistym obłoku, który wskazuje człowiekowi drogę, ale jednocześnie pozbawia go możliwości zdominowania jej swoim spojrzeniem. Chodzić w wierze to chodzić jak Abraham, który „wyruszył, nie wiedząc, dokąd idzie” (Hbr 11, 8); jednak nie w tym sensie, że wyruszył na przygodę, poruszając się przypadkowo, ale w tym sensie, że wyruszył w posłuszeństwie „do miejsca, które miał otrzymać w dziedzictwo”. Nie mógł znać z góry ziemi, która została mu obiecana, ponieważ jego gotowość i wewnętrzne poddanie się naprawdę przyczyniły się do jej istnienia jako takiej, jako ziemi spotkania i przymierza z Bogiem, a nie tylko jako przestrzeni geograficznej, do której można dotrzeć w materialny sposób. Słowa Maryi skierowane do Jana – „w swoim czasie wszystko zrozumiesz” – nie są więc tylko życzliwą matczyną zachętą, podobną do tej, jaką matki dają swoim dzieciom, gdy nie mogą im więcej wyjaśnić, ale zawierają one najwięcej światła, jakie można ofiarować tym, którzy muszą kroczyć w wierze.

Tajemnica Imienia

Po dotarciu tego punktu refleksji jesteśmy w stanie lepiej zinterpretować inny ważny element doświadczenia snu. Jest nim fakt, że w centrum podwójnego napięcia między możliwym i niemożliwym oraz między znanym i nieznanym, w centrum narracji snu, znajduje się temat tajemniczego Imienia dostojnego mężczyzny człowieka. Gęsty dialog sekcji trzeciej [snu] jest w rzeczywistości przeplatany pytaniami, które powtarzają ten sam temat: „Kim jesteś Panie, że nakazujesz mi rzeczy niemożliwe?” „Kim jesteś, że mówisz w ten sposób?”; i wreszcie: „Moja mama mówi mi, żebym bez jej pozwolenia nie przyłączał się do tych, których nie znam. Dlatego proszę powiedzieć mi swoje imię”. Dostojny mężczyzna mówi Janowi, aby zapytał swoją matkę o Imię, ale w ta ostatnia nie chce mu powiedzieć. Do końca pozostaje ono owiane tajemnicą.

Wspomnieliśmy już, w części poświęconej rekonstrukcji biblijnego tła snu, że temat Imienia jest ściśle związany z epizodem powołania Mojżesza przy płonącym krzewie (Wj 3). Strona ta stanowi jeden z centralnych tekstów objawienia Starego Testamentu i kładzie podwaliny pod całą myśl religijną Izraela. André LaCoque proponował, aby nazwać ją „objawieniem objawień”, ponieważ stanowi ona zasadę jedności struktury narracyjnej i normatywnej, która kwalifikuje narrację Księgi Wyjścia jako komórkę-matkę całego Pisma Świętego^[5]. Ważne jest, aby zauważyć, jak tekst biblijny artykułuje w ścisłej jedności stan niewoli ludu w Egipcie, powołanie Mojżesza i objawienie teofaniczne. Objawienie Imienia Bożego Mojżeszowi nie odbywa się jako przekazanie informacji do poznania lub danych do zdobycia, ale jako manifestacja osobistej obecności, która ma na celu wzbudzenie stabilnej relacji i wygenerowanie procesu wyzwolenia. W tym sensie *objawienie Imienia Bożego jest ukierunkowane na przymierze i misję*^[6]. „Imię jest zarówno teofaniczne, jak i sprawcze, ponieważ ci, którzy je otrzymują, nie są po prostu

wprowadzani w boską tajemnicę, ale są odbiorcami aktu zbawienia”^[7].

Imię bowiem, w przeciwieństwie do pojęcia, nie oznacza jedynie istoty, którą należy pomyśleć, ale inność, do której należy się odnieść, obecność, którą należy przywołać, podmiot, który proponuje siebie jako prawdziwego rozmówcę egzystencji. Fakt, że Bóg objawia się jako „Ja”, sugeruje głoszenie nieporównywalnego bogactwa ontologicznego samego Bytu, który nigdy nie może być adekwatnie zdefiniowany, ale wskazuje, że tylko poprzez osobistą relację z Nim można uzyskać dostęp do Jego tożsamości, Tajemnicy Bytu, którym On jest. Objawienie osobowego Imienia jest zatem aktem słowa, który rzuca wyzwanie odbiorcy, prosząc go o usytuowanie się w relacji do mówiącego. Tylko w ten sposób możliwe jest uchwycenie jego znaczenia. Co więcej, takie objawienie wyraźnie staje się fundamentem wyzwolenczej misji, którą musi wypełnić Mojżesz: „Ja-jestem posłał mnie do was” (Wj 3, 14). Przedstawiając się jako Bóg osobowy, a nie Bóg przywiązany do terytorium, jako Bóg obietnicy, a nie tylko jako Pan niezmiennej powtarzalności, Jahwe będzie w stanie podtrzymać wędrówkę ludu, jego podróż ku wolności. Ma zatem Imię, które daje o sobie znać, o ile prowokuje przymierze i porusza historię.

To Imię to zostanie w pełni objawione jedynie przez Jezusa. Tak zwana modlitwa kapłańska Jezusa, którą czytamy w J 17, utożsamia objawienie Imienia Bożego jako serce misji chrystologicznej (w. 6, 11, 12, 26). Na tej stronie, jak stwierdza Ratzinger, „sam Chrystus jawi się nam niemal jako płonący krzew, z którego imię Boga spływa na ludzi”^[8]. W Nim Bóg staje się w pełni wzywalny, ponieważ w Nim w pełni wszedł we współistnienie z nami, zamieszkując naszą historię i prowadząc ją do swojego ostatecznego exodusu. Paradoks polega na tym, że Boże Imię objawione przez Jezusa zbiega się z samą Tajemnicą Jego osoby. Jezus w rzeczywistości może przypisać sobie Boskie Imię – „Ja jestem” – objawione Mojżeszowi w

krzewie. Boże Imię objawia się zatem w swej niewyobrażalnej trynitarnej głębi, której pełnię objawi dopiero wydarzenie paschalne. Przez swoje posłuszeństwo aż do śmierci na krzyżu Jezus zostaje wywyższony w chwale i otrzymuje Imię, które jest ponad wszelkie inne imię, tak że przed Nim zgina się każde kolano w niebie, na ziemi i pod ziemią. Zatem tylko w Imieniu Jezusa jest zbawienie, ponieważ w Jego historii Bóg w pełni dokonał objawienia swojej własnej tajemnicy trynitarnej.

„Powiedz mi swoje imię”: na to pytanie Jana nie można odpowiedzieć po prostu formułą, imieniem rozumianym jako zewnętrzna etykieta osoby. Aby poznać Imię Tego, który przemawia we śnie, nie wystarczy otrzymać informację, ale konieczne jest zajęcie pozycji przed Jego aktem mówienia. Oznacza to, że konieczne jest wejście w relację intymności i poddania się, którą Ewangelie opisują jako „przebywanie” z Nim. To dlatego, gdy pierwsi uczniowie pytają Jezusa o Jego tożsamość – „Nauczycielu, gdzie mieszkasz?” lub dosłownie „gdzie przebywasz?” – On odpowiada: „Chodźcie, a zobaczycie” (J 1,38s.). Jedynie „przebywając” z Nim, mieszkając w Jego tajemnicy, wchodząc w Jego relację z Ojcem, można naprawdę poznać, Kim On jest.

Fakt, że postać ze snu nie odpowiada Janowi, tak jak my byśmy to uczynili, przedstawiając to, co jest napisane na naszym dowodzie tożsamości, wskazuje, że Jego Imię nie może być poznane jako czysto zewnętrzna nazwa, ale ukazuje swoją prawdę tylko wtedy, gdy pieczętuje doświadczenie przymierza i misji. Jan pozna więc to Imię, przemierzając dialektykę tego, co możliwe i tego, co niemożliwe, jasności i ciemności; pozna je, wypełniając powierzona mu misję oratorską. Pozna Go zatem, nosząc Go w sobie, dzięki historii przeżywanej jako historia zamieszkania przez Niego. Pewnego dnia Cagliero zaświadczy o księdzu Bosko, że jego sposób kochania był „czuły, wielki, silny, ale cały duchowy, czysty, prawdziwie czysty”, tak bardzo, że „dawał doskonałe wyobrażenie o miłości, jaką Zbawiciel nosił dla dzieci”^[9]. Wskazuje to, że Imię dostojnego

mężczyzny, którego twarz była tak jasna, że oślepiała wzrok śniącego, tak naprawdę weszło w życie księdza Bosko jak pieczęć. Doświadczył on *experientia cordis* poprzez drogę wiary i naśladowania. Jest to jedyna forma, w której można odpowiedzieć na pytanie snu.

Macierzyńskie pośrednictwo

W niepewności co do Tego, który go posyła, jedynym mocnym punktem, do którego Jan może przyłgnąć we śnie, jest odniesienie do matki, a raczej do dwóch: Matki dostojnego mężczyzny i jego własnej. W rzeczywistości odpowiedzi na jego pytania brzmią tak: „Jestem synem tej, którą twoja matka nauczyła cię pozdrawiać trzy razy dziennie”, a następnie „Zapytaj moją Matkę o moje Imię”. To, że *przestrzeń możliwości wyjaśnienia jest maryjna i macierzyńska*, jest niewątpliwie czymś, nad czym warto się zastanowić. Maryja jest miejscem, w którym ludzkość urzeczywistnia najwyższą zgodność ze światłem pochodzącym od Boga i ze stworzoną przestrzenią, w której Bóg przekazał światu swoje Słowo, które stało się ciałem. Wskazuje na to również fakt, że po przebudzeniu ze snu, osobą, która najlepiej rozumie jego znaczenie i zakres, jest matka Jana, Małgorzata. Na różnych poziomach, ale zgodnie z prawdziwą analogią, Matka Pana i matka Jana reprezentują kobiece oblicze Kościoła, który okazuje się zdolny do duchowej intuicji i stanowi łono, w którym wielkie misje są zarządzane i rodzone.

Nie zaskakuje więc fakt, że dwie matki są zestawione ze sobą i to dokładnie w tym momencie, w którym chodzi o dotarcie do sedna kwestii przedstawionej we śnie, a mianowicie wiedzy o Tym, który powierza Janowi życiową misję. Podobnie jak w przypadku podwórka w pobliżu domu, tak i w przypadku matki, w intuicji snu otwierają się przestrzenie najbardziej znanego i codziennego doświadczenia, ukazując w swoich fałdach niezgłębianą głębię. Znane gesty modlitwy, Pozdrowienie Anielskie, które odmawiało się trzy razy dziennie w każdej rodzinie, nagle pojawia się jako to, czym tak naprawdę jest:

jako dialog z Tajemnicą. W ten sposób Jan odkrywa, że już w szkole swojej matki nawiązał więź z majestatyczną Panią, która może mu wszystko wyjaśnić. Istnieje więc już pewien rodzaj kobiecego kanału, który pozwala przewyciężyć pozorny dystans między „biednym i nieświadomym dzieckiem” a „szlachetnie ubranym” mężczyzną. To kobiece, maryjne i macierzyńskie pośrednictwo będzie towarzyszyć Janowi przez całe jego życie i sprawi, że dojrzeje w nim szczególna skłonność do czczenia Dziewicy z tytułem Wspomożycielki, stając się Jej apostołem dla swoich chłopców i dla całego Kościoła.

Pierwszą pomocą, jaką Matka Boża mu oferuje, jest to, czego dziecko naturalnie potrzebuje: pomoc nauczycielki. To, czego musi go nauczyć, to dyscyplina, która czyni człowieka prawdziwie mądrym, bez której „wszelka mądrość staje się głupstwem”. Jest to dyscyplina wiary, która polega na zaufaniu Bogu i posłuszeństwie nawet w obliczu rzeczy niemożliwych i niejasnych. Maryja przekazuje ją jako najwyższy wyraz wolności i najbogatsze źródło duchowej i wychowawczej płodności. Noszenie w sobie niemożliwości Boga i kroczenie w ciemności wiary jest w rzeczywistości sztuką, w której Dziewica przewyższa wszelkie stworzenie.

W swojej *peregrinatio fidei*, nierzadko naznaczonej ciemnością i niezrozumieniem, uczyniła to mozolną praktyką. Wystarczy wspomnieć epizod odnalezienia dwunastoletniego Jezusa w świątyni (Łk 2, 41-50). Na pytanie matki: „Synu, czemu nam to uczyniłeś? Oto ojciec Twój i ja, z bólem serca, szukaliśmy Ciebie”, Jezus odpowiada w zaskakujący sposób: „Dlaczego Mnie szukaliście? Czyż nie wiedzieliście, że muszę zająć się sprawami mojego Ojca?”. Ewangelista zauważa: „Lecz oni nie zrozumieli tego, co im powiedział”. Jeszcze mniej prawdopodobne jest, że Maryja zrozumiała, kiedy jej macierzyństwo, uroczyście ogłoszone z wysoka, zostało niejako wyłączone z niej, aby mogło stać się wspólnym dziedzictwem wspólnoty uczniów: „Kto pełni wolę Ojca mojego, który jest w niebie, ten Mi jest bratem i siostrą, i matką” (Mt 12, 50).

Potem, u stóp krzyża, gdy nad całą ziemią zapadła ciemność, wypowiedziane w chwili wezwania *Oto jestem* nabrało rysów skrajnego wyrzeczenia, oddzielenia od Syna, w miejsce którego miała przyjąć grzeszne dzieci, dla których miała pozwolić, by Jej serce zostało przebite mieczem.

Kiedy więc majestatyczna Pani ze snu rozpoczyna swoje zadanie jako nauczycielka, kładąc rękę na głowie Jana, mówi do niego: „W swoim czasie wszystko zrozumiesz”, to *czierpie Ona te słowa z duchowych wnętrzości wiary, która u stóp krzyża uczyniła ją Matką każdego ucznia*. Pod jej dyscypliną Jan będzie musiał pozostać przez całe swoje życie: jako młodzieniec, jako seminarzysta, jako kapłan. W szczególny sposób będzie musiał tam pozostać, gdy jego misja nabierze rozmiarów, których nie mógł sobie wyobrazić w momencie swojego snu; kiedy to będzie musiał stać się w sercu Kościoła założycielem rodzin zakonnych przeznaczonych dla młodzieży na wszystkich kontynentach. Wtedy Jan, który stał się księdzem Bosko, zrozumie także głębsze znaczenie gestu, z jakim dostojny mężczyzna dał mu swoją matkę jako „nauczycielkę”.

Kiedy młody człowiek wstępuje do rodziny zakonnej, znajduje na powitanie mistrza nowicjatu, któremu zostaje powierzony, aby wprowadził go w ducha Zakonu i pomógł mu go przyswoić. Gdy *chodzi o Założyciela*, który musi otrzymać od Ducha Świętego pierwotne światło charyzmatu, *Pan zrzadza, że to jego własna Matka, Dziewica Pięćdziesiątnicy i niepokalany wzór Kościoła, ma być jego Mistrzynią*. Tylko Ona, „pełna łaski”, w rzeczywistości rozumie wszystkie charyzmaty od wewnątrz, jak osoba, która zna wszystkie języki i mówi nimi jak własnymi.

W efekcie, Pani ze snu wie, jak precyzyjnie i właściwie wskazać mu bogactwa charyzmatu oratorskiego. Nie dodaje nic do słów Syna, ale ilustruje je sceną dzikich zwierząt, które stały się oswojonymi jagniętami i wskazaniem cech, które Jan będzie musiał dojrzeć, aby wypełnić swoją misję: „pokorny, silny, wytrzymały”. W tych trzech przymiotnikach, oznaczających wigor ducha (pokorę), charakter (siłę) i ciało

(krzepkość), jest wielka konkretność. Są to rady, których można by udzielić młodemu nowicjuszowi, który ma długie doświadczenie w oratorium i wie, czego wymaga „pole”, na którym trzeba „pracować”. Salezjańska tradycja duchowa starannie strzegła słów tego snu, które odnoszą się do Maryi. Konstytucje salezjańskie wyraźnie nawiązują do niego, gdy mówią: „Najświętsza Maryja Panna wskazała Księdzu Bosko pole działania wśród młodzieży”^[10]. Albo przypominają, że „Ksiądz Bosko, wiedziony przez Maryję, która była mu Mistrzynią, żył w spotkaniach z chłopcami pierwszego Oratorium doświadczeniem duchowym i wychowawczym, które nazwał Systemem Prewencyjnym”^[11].

Ksiądz Bosko widział w Maryi decydującą rolę w swoim systemie wychowawczym, widząc w Jej macierzyństwie najwyższą inspirację tego, co oznacza „zapobieganie”. Fakt, że Maryja interweniowała od pierwszego momentu jego charyzmatycznego powołania, że odegrała tak centralną rolę w tym śnie, na zawsze uświadomił księdzu Bosko, że *należy Ona do korzeni charyzmatu i że tam, gdzie ta inspirująca rola nie jest uznawana, charyzmat nie jest rozumiany w swojej autentyczności*. Dana jako Mistrzyni Janowi w tym śnie, musi być nią także dla wszystkich, którzy podzielają jego powołanie i misję. Jak następcy Księdza Bosko nigdy nie przestali potwierdzać, „powołanie salezjańskie jest niewytłumaczalne, zarówno w swoich narodzinach, jak i w swoim rozwoju, i zawsze, bez macierzyńskiego i nieprzerwanego wkładu Maryi”^[12].

Moc łagodności

„Nie biciem, ale łagodnością i miłością masz pozyskać tych swoich przyjaciół”: te słowa są niewątpliwie najbardziej znanym wyrażeniem snu z 9-tego roku życia, tymi, które w jakiś sposób podsumowują jego przesłanie i przekazują jego inspirację. Są to również pierwsze słowa, które dostoyny mężczyzna wypowiada do Jana, przerywając jego gwałtowne

wysiłki, by położyć kres nieporządkowi i bluźnierstwu swoich kolegów. Nie jest to tylko formuła, która przekazuje zawsze aktualne zdanie mądrościowe, ale wyrażenie określające sposób wykonania rozkazu („polecił mi stanąć na czele tych chłopców”), za pomocą którego, jak powiedzieliśmy, celowy ruch sumienia śniącego zostaje przekierowany. Zapał bicia musi stać się impulsem miłosierdzia, rozłożona energia represyjnej interwencji musi ustąpić miejsca łagodności. Termin „łagodność” nabiera tutaj znacznej wagi, co jest jeszcze bardziej uderzające, gdy weźmie się pod uwagę, że odpowiedni przymiotnik zostanie użyty pod koniec snu do opisanie baranków uczujących wokół Pana i Maryi. Zestawienie to sugeruje spostrzeżenie, które nie wydaje się bez znaczenia: *aby ci, którzy byli dzikimi zwierzętami, mogli stać się „łagodnymi” barankami, ich wychowawcy muszą przede wszystkim stać się łagodni*. Obaj, choć z różnych punktów wyjścia, muszą przejść *metamorfozę*, aby wejść na chrystologiczną orbitę łagodności i miłości. Dla grupy hałaśliwych i kłótliwych chłopców łatwo jest zrozumieć, czego wymaga ta zmiana. Dla wychowawcy jest to być może mniej oczywiste. Przecież już teraz opowiada się on po stronie dobra, pozytywnych wartości, porządku i dyscypliny: jakiej więc zmiany można od niego wymagać?

Pojawia się tutaj temat, który będzie miał decydujący rozwój w życiu księdza Bosko, przede wszystkim na poziomie stylu działania i, do pewnego stopnia, także na poziomie refleksji teoretycznej. Chodzi o orientację, która prowadzi księdza Bosko do *kategorycznego wykluczenia systemu wychowawczego opartego na represji i karceniu*, do wyboru z przekonaniem metody opartej na miłości, którą ksiądz Bosko nazwie „systemem prewencyjnym”. Oprócz różnych implikacji pedagogicznych wynikających z tego wyboru, dla których odsyłamy do bogatej bibliografii, interesujące jest tutaj podkreślenie wymiaru teologiczno-duchowego, który leży u podstaw tego kierunku, wobec którego słowa ze snu stanowią w pewien sposób intuicję i wyzwacz. – 63 –

Stawiając się po stronie dobra i „prawa”, wychowawca może ulec pokusie, aby ustawić swoje działania z dziećmi zgodnie z logiką, która ma na celu zaprowadzenie porządku i dyscypliny głównie poprzez zasady i normy. Jednak nawet prawo niesie w sobie dwuznaczność, która czyni je niewystarczającym do kierowania wolnością, nie tylko ze względu na ograniczenia, które niesie w sobie każda ludzka reguła, ale także ze względu na ograniczenie, które ostatecznie ma porządek teologiczny. Cała refleksja pawłowa jest wielką medytacją na ten temat, ponieważ Paweł dostrzegł w swoim osobistym doświadczeniu, że prawo nie uchroniło go przed byciem „błuźniercą, prześladowcą i gwałtownikiem” (1 Tm 1, 13). Pismo Święte naucza, że samo Prawo dane przez Boga nie wystarcza do zbawienia człowieka, jeśli nie istnieje inna osobista Zasada, która integruje i uwewnętrznia je w ludzkim sercu. Paul Beauchamp szczęśliwie podsumowuje tę dynamikę, gdy stwierdza: „Prawo jest poprzedzone przez Jesteś kochany, a po nim następuje *Będziesz kochał*. *Jesteś kochany*: fundament prawa, i *Będziesz kochał*: jego przewyciężenie”^[13]. Bez tego fundamentu i tego przewyciężenia prawo nosi w sobie oznaki przemocy, która ujawnia jego niezdolność do generowania dobra, które jednak nakazuje osiągnąć. Wracając do sceny ze snu, ciosy i uderzenia, które Jan zadaje w imię świętego przykazania Bożego, które zabrania bluźnierstwa, ujawniają *niewystarczalność i dwuznaczność każdego moralizatorskiego impulsu, który nie jest wewnętrznie przemieniany z góry*.

Stąd konieczne jest, aby Jan i ci, którzy będą uczyć się od niego duchowości prewencyjnej, nawrócili się na *niespotykaną dotąd logikę wychowawczą, która wykracza poza reżim prawa*. Taką logikę umożliwia jedynie Duch Zmartwychwstałego, rozlany w naszych sercach. Tylko Duch Święty umożliwia przejście od sprawiedliwości formalnej i zewnętrznej (czy to klasycznej „dyscypliny” i „dobrego zachowania”, czy też nowoczesnej „procedur” i „osiągniętych celów”) do prawdziwej świętości wewnętrznej, która osiąga dobro, ponieważ jest wewnętrznie przyciągana i zdobywana. Ksiądz Bosko pokazał, że ma tego

świadomość, kiedy w swoim piśmie o *Systemie Prewencyjnym* szczerze oświadczył, że wszystko opiera się na słowach św. Pawła: „*Charitas benigna est, patiens est; omnia suffert, omnia sperat, omnia sustinet*„.

Tylko miłość teologalna, która czyni nas uczestnikami życia Bożego, jest w stanie nadać dziełu wychowania cechę, która urzeczywistnia jego wyjątkową ewangeliczną jakość. Nie bez powodu Nowy Testament określa cichość i łagodność jako charakterystyczne cechy „mądrości pochodzącej z góry”: jest ona „czysta, dalej, skłonna do zgody, ustępliwa, posłuszna, pełna miłosierdzia i dobrych owoców, wolna od względów ludzkich i obłudy” (Jk 3, 17). Dlatego „owoc zaś sprawiedliwości sieją w pokoju ci, którzy zaprowadzają pokój” (Jk 3,18). „Łagodność” lub w języku salezjańskim „miłująca dobroć” [*amorevolezza*], która charakteryzuje taką mądrość, jest znakiem kwalifikacyjnym serca, które przeszło prawdziwą paschalną przemianę, pozwalając się pozbawić wszelkich form przemocy.

„Nie biciem”: siła tego początkowego nakazu, na który być może byliśmy głusi, aby zrozumieć jego nakazujący charakter, staje się echem najmocniejszych słów Ewangelii: „Ale powiadam wam: Nie sprzeciwiajcie się złemu” (Mt 5, 39) lub „Schowaj miecz do pochwy” (Mt 26, 52; por. J 18, 11). Odnosi się to do jednej z cech, które stanowią o bezprecedensowej nowości chrześcijańskiego „wydarzenia”, a mianowicie do tego, że *absolutność jego prawdziwego twierdzenia wyraża się wyłącznie w formie agape*, czyli daru z siebie dla życia drugiego. Zaczynając od pierwszych słów snu, znajdujemy się zatem w samym sercu chrześcijańskiego objawienia, gdzie chodzi o autentyczne Oblicze Boga i związane z nim nawrócenie. „Styl” wychowania chrześcijańskiego, jego zdolność do tworzenia praktyk i postaw prawdziwie zakorzenionych w wydarzeniu chrystologicznym, rozgrywa się właśnie w relacji z tym Obliczem.

Gramatyka religijna nie jest w stanie oddać Mu czci. Historia

Jezusa pokazuje dość wyraźnie, że nawet w ramach tej gramatyki, z jej kodeksami i rytuałami, jej zasadami i instytucjami, może zakorzenić się coś, co nie pochodzi od Boga, a nawet sprzeciwia się Mu. Wydarzenie chrystologiczne przychodzi właśnie po to, aby ujawnić te wewnętrzne sprzeczności w praktyce *sacrum*, którą synowie Adama przekazali swoim dzieciom, dostosowując ją do swoich standardów sprawiedliwości i kary; gotowi, w imię Prawa, ukamienować cudzołożnicę i ukrzyżować Świętego Bożego.

W obliczu tego zniekształconego sposobu rozumienia religii Jezus przyszedł, aby zainaugurować inne Królestwo, którego jest Panem i którego mesjański wjazd do Jerozolimy emblematycznie ujawnia logikę. Wjeżdżając do Świętego Miasta na grzbiecie osiołka, Jezus przedstawia się jako Mesjasz-Król, który nie podbija ludzi bronią i armiami, ale jedynie cichą mocą prawdy i miłości. Dar Jego życia, który wypełni w mieście Dawida, jest jedyną drogą, dzięki której Królestwo Boże może przyjść na świat. Jego łagodność jako Baranka Paschalnego jest jedyną mocą, z jaką Ojciec chce zdobyć nasze serca, pokazując wiarygodność więzi i sprawiedliwość korespondencji.

„Nie biciem, ale łagodnością i miłością masz pozyskać tych swoich przyjaciół”. Odczytywanie tych słów w kontekście ewangelicznego objawienia oznacza uznanie, że poprzez nie Jan otrzymuje wewnętrzne poruszenie, które w swej nieskazitelnej autentyczności może wpływać jedynie z Serca Chrystusa^[14]. „Nie z biciem, ale łagodnością” jest przetłumaczeniem w sposób wychowawczy „bardzo osobistego” stylu Jezusa.

Oczywiście „pozyskiwanie” młodych ludzi w ten sposób jest bardzo wymagającym zadaniem. Oznacza to, że nie należy poddawać się chłodowi wychowania opartego wyłącznie na zasadach, ani dobroci propozycji, która rezygnuje z potępiania „brzydoty grzechu” i prezentowania „szlachetności cnoty”. Zdobywanie dobra poprzez proste ukazywanie mocy prawdy i miłości, poświadczone oddaniem „do ostatniego tchnienia”, jest

figurą metody wychowawczej, która jest jednocześnie prawdziwą duchowością.

Nic dziwnego, że Jan we śnie opiera się wejściu w ten ruch i prosi o dobre wyjaśnienie Tego, kto go przekazuje. Kiedy jednak je zrozumie, czyniąc to przesłanie najpierw instytucją „Oratorium”, a następnie także rodziną zakonną, pomyśli, że opowiadanie snu, w którym nauczył się tej lekcji, będzie najpiękniejszym sposobem podzielenia się najbardziej autentycznym znaczeniem swojego doświadczenia ze swoimi dziećmi. *To Bóg kierował wszystkim, to On sam odcisnął pierwotny ruch tego, co stanie się charyzmatem salezjańskim.*

Ks. Andrea Bozzolo, sdb, rektor Papieskiego Uniwersytetu Salezjańskiego

[1] Tekst krytyczny opublikowany w: P. BRAIDO (red.), *Don Bosco educatore. Scritti e testimonianza*, LAS 3 1996, 108-111.

[2] *Wspomnienia Oratorium* w: *Źródła salezjańskie*, Kraków 2016, s. 1478.

[3] J.L. MARION, *Nulla è impossibile a Dio*, «Communio» n. 107 (1989) 57-73, 62.

[4] *Ibi*, 72

[5] A. LACOCQUE, *La révélation des révélations: Exode 3,14*, w: P. RICOEUR – A. LACOCQUE, *Penser la Bible*, Seuil, Paris 1998, 305.

[6] Odnosi się to do Wj 3,15, w którym Imię Boga jest połączone z wyrażeniem: „Powiesz”, A. LaCocque podkreśla: «Największym paradoksem jest fakt, że tylko Ten, kto ma prawo powiedzieć „Ja”, który jest jedynym 'ehjeh, nosi imię, które zawiera w sobie drugą osobę: „ty”» (A. LACOCQUE, *La révélation des*

révélations: Exode 3,14, 315).

[\[7\]](#) A. BERTULETTI, *Dio, il mistero dell'unico*, 354.

[\[8\]](#) J. RATZINGER: *Introduzione al cristianesimo. Lezioni sul simbolo apostolico* [Wprowadzenie do chrześcijaństwa], Queriniana, Brescia 1971, 93.

[\[9\]](#) *Copia Publica Transumpti Processus Ordinaria*, 1146.

[\[10\]](#) *Konstytucje*, art. 8.

[\[11\]](#) *Konstytucje*, art. 20

[\[12\]](#) E. VIGANÒ, *Maria rinnova la Famiglia Salesiana di don Bosco*, ACG 289 (1978) 1- 35, 28. Per una ricezione critica della devozione mariana nella storia delle Costituzioni dei Salesiani, cfr. A. VAN LUYN, *Maria nel carisma della "Società di San Francesco di Sales"*, in AA.VV., *La Madonna nella "Regola" della Famiglia Salesiana*, Roma, LAS, 1987, 15-87.

[\[13\]](#) P. BEAUCHAMP, *La legge di Dio*, Piemme, Casale Monferrato 2000, 116.

[\[14\]](#) Dlatego art. 11 *Konstytucji* potwierdza, że "wzorem i źródłem ducha salezjańskiego jest Serce Chrystusa, wysłannika Ojca", precyzując, że wyraża się on w troskliwości "Dobrego pasterza, który zwycięża łagodnością i darem z samego siebie".